

I-7
94

PG
7158
07
Z79
1907A

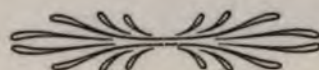
J. MARCINOWSKA

STANFORD
LIBRARIES

P6-82

Eliza Orzeszkowa,

jej życie i pisma.



SPK
WARSZAWA

SKŁAD GŁÓWNY W „KSIĘGARNI POLSKIEJ” WARECKA № 14.

1907.

www.libtool.com.cn

www.libtool.com.cn

www.libtool.com.cn

PG 7158
O7Z79

Elizie Orzeszkowej

w czterdziestolecie Jej niezmordowanej,
—dobra, światła i miłości Ojczyzny peł-
nej pracy pisarskiej,

wyrazy czci i hołda składa

**„Kóło wydawnictw ludowych
im. Staszycy“.**

14 Maja 1907 r.

www.libtool.com.cn



Eliza Orzeszkowa.

Jadąc koleją z Warszawy w stronę północno-wschodnią, mija się po kilku godzinach podróży fabryczne, dosyć znaczne miasto Białystok.

Jesteśmy już na Litwie.

Jesteśmy w tym obszernym, a sławnym kraju, który od czasów Jagiellowych, więc od końca XIV wieku, skojarzony był z polską koroną unją, czyli połączeniem z dobrej, nieprzymuszonej woli.

W następstwie stuleci niejedną chwałę i niejedną moc dała ta Litwa pospólnej Rzeczypospolitej, wspólnemu państwu, którego stanowiła równouprawnioną połowę.

Dosyć będzie wymienić największe, nigdy niezapomniane imiona Kościuszki i Mickiewicza.

Ci obaj wodzowie narodu, których pamięć do dnia dzisiejszego nie tylko jest pokrzepieniem, ale kierownictwem niezgasłym, ci obaj urodzili się na Litwie i tu spędzili najmłodsze lata.

Do głowy ciśnie się wiele myśli o tym wszystkim, co było.

Gdy się tak jedzie przez kraj ów litewski, ogląda się widoki rozległe, ale dosyć jednostajne, smutnawe.

Poeci nasi tak opisują przyrodę Litwy:—Wincenty Pol, który przeważnie przebywał w Małopolsce, powiada:

„Hej! na północ, tam daleko,
Szumią puszcze ponad rzeką!
Tam świat inny, lud odmienny,
Kraj zapadły, równy, senny,

www.libtool.com.cn

Często mglisty i piaszczysty..
Wół za rogi orze zgliszcze,
W ostrym zwirze socha świszczę..
Niebo blade, trawy rzadsze;
Puszcze czarne, zboże marne".

Władysław Syrokomla, sam z urodzenia Litwin, odzywa się serdecznie:

„Ziemio moja rodzona, Litwo moja święta,
Żółtym piaskiem i drobną trawą przytrząśnięta!
Niepokazne na oko dzikie twe zacisze,
Nie tak jak u Auzońców ¹⁾ i Helwetów ²⁾ słyszę..
Twoja ziemia posępna, twe niebo bez blasku,
Ciebie do Włoch na pokaz nie powieź w obrazku.
Nie spada w katarakty twoja woda sina,
Na twych wzgórkach jałowiec, po lasach sośnina.
Z nieocionianych bierwion klecone twe domy,
Kwitnie mech zielonawy na strzechach ze słomy,
A pod strzechą lud pełen prostoty i dziczy —
Rzekłbyś, patrząc na niego, że do trzech nie zliczy:
A jednak do twej treści zajrzawszy głęboko,
Litwoli tyś więcej warta, niż się zda na oko!"

Nie wszędzie jednakże, nie we wszystkich swych miejscowościach ten kraj przedstawia się niepozornie lub smętnie. W pobliżu rzek znaczniejszych ożywiają się i wzbogacają widoki. Wymieniony już Syrokomla w swych wierszach tak dalej mówi:

„Cicho Niemen przebiega rodzinne siedziby,
niestraszy dla żeglarza i spokojny niby.
Pozwala siebie łodziom deptać całe lato;
zimną da się w ciemnicę zakuć lodowatą;
nie stawia groźnie czoła, nie rwie się, nie ryczy,
taki zda się pokorny, taki niewolniczy.
O! nie wierz tej pokorze i patrz, kiedy łaska,
gdy się na wiosnę wzburzy i lód poroztrzaska!
Białal ocknął się olbrzym, wie, kto go znieważa:
gruchoce dom rybaka i statek żeglarza.

¹⁾ Włochów.

²⁾ Szwajcarów.

www.libtool.com.cn

Falą zalewa błonie, echem grzmi po borze,
a gdyby jeszcze chwilę—świat zniszczyłby może.
Lecz gniew jego przekipiał; już krzywd zapomina—
Ot, tak samo jak Niemen i serce Litwina*.

Najpiękniejszymi słowy przemawia największy z poetów
Mickiewicz, gdy zwraca się z prośbą do Matki Bożej, by
przenosiła „duszę jego utęsknioną“

„do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych
szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągniętych;
do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem,
gdzie bursztynowy świerżop, gryka jak śnieg biała,
gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
a wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
zieloną,—na niej z rzadka ciche grusze siedzą“.

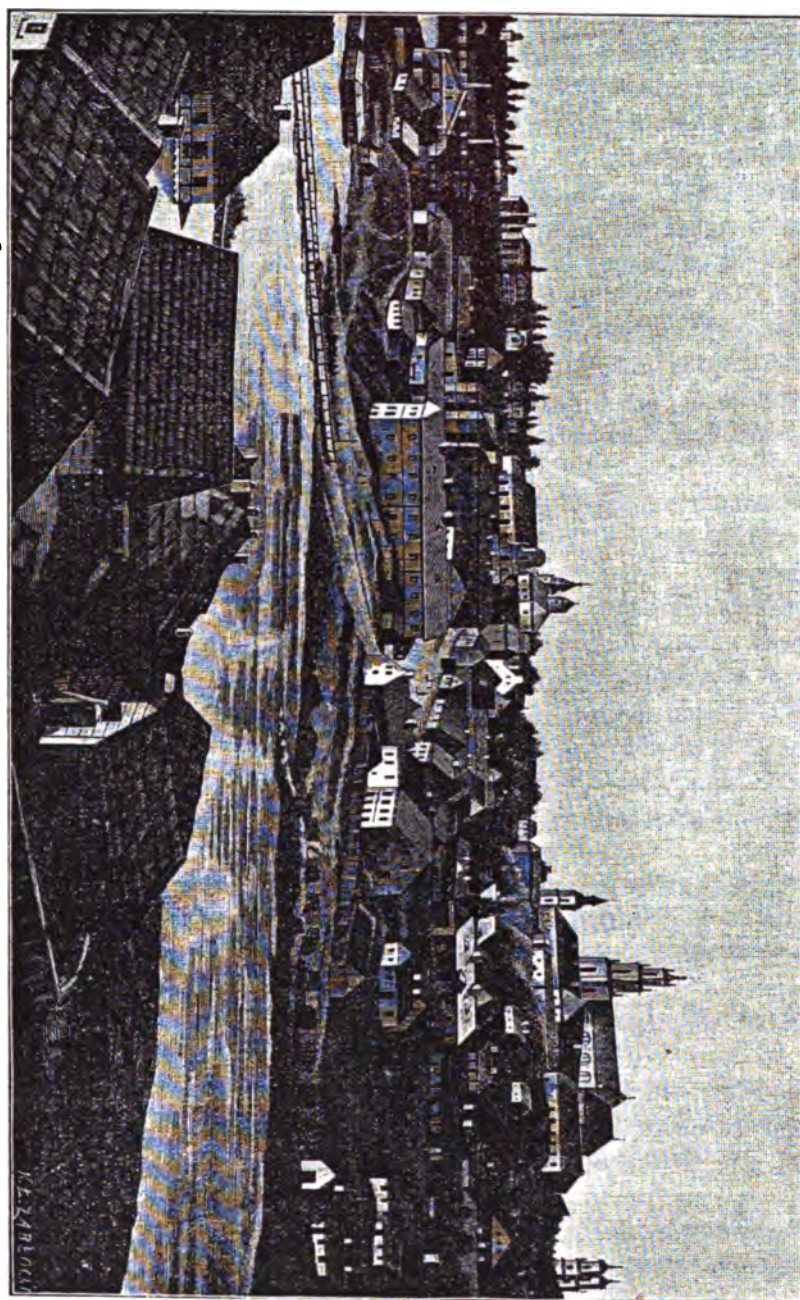
Ów Niemen, największa i najpiękniejsza na Litwie rzeka,
płyje na dosyć znacznej przestrzeni i linią bardzo krętą;
najpierw od wschodu na zachód, potem na północ, potem
jeszcze na zachód. Wpada do Bałtyckiego morza.

W podróży z Warszawy na Litwę, w kilka godzin po
ominięciu Białegostoku, napotykamy właśnie Niemen. Z wy-
sokiego mostu kolejowego spogląda się na rzekę, w miejscu
tym jeszcze wąską, krętą, w dzień pogodny bardzo błękitną.
Na brzegu rzeki miasto. Wydaje się dosyć rozległe. Jest to
starożytne, już w XII stuleciu wspomniane przez kronikarzy
Grodno.

Przechodziło ono różne koleje. Narazie nie było to
właściwie miasto; gromada lepianek tuliła się do warownego,
aczkolwiek drewnianego, zamku czyli grodu. Jedynie ten
gród miał znaczenie. Około połowy XIII wieku grodzieński
zamek zdobyli i zniszczyli Tatarzy.

Nieco później dostało się Grodno pod panowanie ksią-
żąt litewskich i jeden z nich, synowiec wielkiego księcia
Mendoga, zbudował tu zamek nowy.

Uciążliwym i wielce krwawym był dla Grodna cały na-
stępny wiek XIV, a to z powodu kilkakrotnych napaści Krzy-
żaków.



GRODNO.

www.libtool.com.cn

Ten zakon niemiecki, z pozoru służbie Bożej a naprawdę tylko własnej chciwości oddany, siedział wzdłuż północnej granicy Litwy i corocznie najazdami pogrzużał jej rwał i kasał. Nie poprzestając na tym, wdzierał się niejednokrotnie aż w głąbie litewskich posiadłości. I w taki sposób ucierpiało od nich Grodno w latach: 1296, 1306, 1312 i 1328.

Dopiero połączenie Litwy z Polską położyło tamę wzrostowi niszczycieli Krzyżaków i niebawem złamaną została ich buta w przesławnej bitwie pod Grunwaldem (w 1410 r.).

Władysław Jagiełło, dziedziczny wielki książę litewski, a na skutek Unji król polski, obdarzył Grodno pierwszym przywilejem na swobody miejskie. Zaś prawo zupełnego samorządu nadał mieszczanom grodzieńskim syn Jagiełłowy, król Jagiellończyk Kazimierz.

W następstwie z nie mniejszym upodobaniem troszczyli się o Grodno królowie Zygmunt Stary i Zygmunt August, z Jagiellonów ostatni.

Podobnie postępował i król Stefan Batory, którego ulubionym miejscem pobytu było właśnie to miasto. Przywileje wszystkie potwierdził, nowe swobody przydał, dawny zamek na wyniosłym wybrzeżu Niemna ze zniszczenia podźwignął, odbudował, przyzwoitą obroną opatrzył. I tutaj w Grodnie zakończył życie ten król znakomity, niestety zbyt krótko panujący nad narodem, który szedł za nim drogą szeroką do sławy.

Przychodziły na Grodno i dni nieszczęsne zniszczenia przez wojska nieprzyjacielskie, jak to czasu wojny z Rosją w r. 1665, za króla Jana Kazimierza. Potym zajęcie przez Szwedów w 1708 roku.

Pomimo tych strat i upadków miasto należało do najznacniejszych na Litwie.

W XVII i pierwszej połowie XVIII wieku odbywały się tutaj niejednokrotnie sejmy Rzeczypospolitej, a nawet według powziętych postanowień, co trzeci sejm miał się tutaj stale odprawiać.

Okres czasu między 1775 — 1790 rokiem był dobą największego znaczenia i rozwoju Grodna. Właśnie szerzył się

po całej Rzeczypospolitej ogromny ruch odrodzenia narodowego. Pracowano nad podźwignięciem oświaty, siły i dobrobytu, a więc rolnictwa, przemysłu krajowego i handlu. Na Litwie wiele w tym kierunku dokonał Antoni Tyzenhauz, podskarbi nadworny królewski, oraz grodzieński starosta. Z polecenia króla Stanisława Augusta i z własnej żarliwości działał. W Grodnie założył kilkanaście fabryk; powstały kantory i składy kupieckie, urządzono w celach pożytku i nauki piękny ogród botaniczny. Dzisiaj jako ślad ówczesnego ożywienia i pracy Tyzenhauza pozostało pobudowane przezeń przedmieście Horodnica, a zresztą tylko wspomnienie. Wogóle dzisiejsze Grodno jest podupadłym, niewielkim miastem, zamieszkanym przez ludność żydowską, oraz urzędników Rosjan. Z zabytków godnych widzenia mało co się ostało. Dwa zamki królewskie, z dawnego znaczenia odarte, do użytku miejscowej administracji oddane.

Zwraca uwagę kościół farny, w XIV wieku fundowany przez Wielkiego Księcia Witolda, stryjecznego brata Jagiełły.

Miasto w obecnym swym stanie sprawia przygnębiające wrażenie. Smutno tu jakoś, życia mało.

Są to wyniki długoletniego prześladowania; ponieważ za dawnych, lepszych czasów oświata tu była polską, kultura polską, tępiono ją starannie z powodu owej polskości. A potem nie pozwalano na żaden krok w celu obudzenia umysłowego życia, a to z obawy, by nie wróciła ta polska fala.

I dlaczegoż wspomnieliśmy stosunkowo obszernie o tym — z pozoru martwym i wcale nie ciekawym mieście? Czy ze względu na dawność jego i, świetne o nim wspomnienie?

Nie, nietylko dlatego.

Niejedną moc i niejednen pożytek przyniosła Litwa tej Rzeczypospolitej, której była równouprawnioną połową. Poza niezgaszonymi nigdy imionami Kościuszki i Mickiewicza jest jeszcze szereg długi nazwisk, oczywiście nie takich wielkich, ale przecie dość znacznych, by mieć wieczystą po sobie pamięć i wdzięczność.

Ludzie, którzy nazwiska te nosili, dawali moc narodowi swemu.

www.libtool.com.cn

Właśnie w tym podupadłym dziś Grodnie mieszka od lat wielu kobieta, która z głębi duszy, myśli i troski dawała społeczeństwu naszemu moc i dobro.

Obecnie Polska cała obchodzi czterdziestolecie jej nieprzerwanej pracy.

Jaką była ta praca? Co uczyniła dla kraju Eliza Orzeszkowa? (takim jest imię i nazwisko tej kobiety). W jaki sposób dawała dobro?

By na to odpowiedzieć, krótkiego określenia nie wystarczy. Dzieje zasług Elizy Orzeszkowej łączą się i splatają z dziejami Litwy w ciągu ostatnich lat czterdziestu. Łączą się i splatają z szeregiem bólów i smutków, i potrzeb otwartych, jak niezagojone rany.

Urodziła się Orzeszkowa w roku 1842 we wsi Milkowszczyźnie położonej o sześć mil od Grodna. W Milkowszczyźnie upłynęły jej dziecinne lata.

Ojciec, Benedykt Pawłowski, był człowiekiem bardzo zacnego charakteru i wielkiej nauki. Umarł wczesnie, gdy córka miała zaledwo półtora roku. Pozostawił najlepszą po sobie pamięć w rodzinie i w całej okolicy.

Elizę wychowywały matka i babka. Była jeszcze druga córka, o parę lat starsza, Klementyna. Obie dziewczynki rozwijały się dobrze i wykazywały roztropność i zdolności do nauki. Tylko ze zdrowiem starszej bywało zmartwienie; chorowała często i wogóle sił jej brakło.

Ówczesne życie na Litwie różniło się niepomiarnie od obecnych warunków. Dzisiaj są tam, jak i wszędzie, różne powikłania i prądy wśród społeczeństwa, różne sprawy i dążności narazie ze sobą sprzeczne, zanim się wszystko ułoży i dojrzeje do nowego, lepszego porządku rzeczy.

Pomimo tych zatargów i przeszkód postępuje demokrytyzacja, czyli równanie się klas społecznych. Nikomu już nie przychodzi na myśl, by jakaś część narodu, jedna poszczególna klasa miała prawo za całość tego narodu działać,

rozstrzygać, stanowić. Przeciwnie coraz bardziej odczuwa się i rozumie, że wszyscy obywatele, wszyscy członkowie społeczeństwa powinni być pod tym względem zupełnie równi sobie.

Wówczas inaczej było. To dzisiejsze przekonanie o równości, a także rozmaite, obecnie powstające prądy i ztargi miały się dopiero pojawić. W owym zaś czasie świadomość i pragnienia całego kraju uosabiała tylko szlachta. Zwracała się coprawda nieraz, a z biegiem wypadków coraz częściej, do mieszczan i do włościan, ale tym nie mniej ciągle pozostawała przedstawicielką i kierowniczką.

Pod względem ruchów politycznych, około roku 1850 zapanowało na całej Litwie chwilowe uciszenie. Niedawno jeszcze wstrząsały krajem burze wielkich uczuć i wielkich nadziei, a potym nieszczęścia i rozpacz.

Na jedenaście lat przed rokiem urodzenia Elizy Pawłowskiej Litwa brała udział w wojnie o niepodległość, zwanej powstaniem listopadowym. Był wtedy ruch, były zjazdy, narady; potym w tej starej, nasiąkniętej krwią litewskiej krainie pochody wojsk i potyczki.

Powstanie upadło. Królestwo utraciło dotychczasową autonomję czyli samorząd. Na Litwie zmiany tego rodzaju nie zaszły, bowiem nie było swobód politycznych, któreby można odbierać. A jednak i ziemię litewską dotknęła niedola. Rozkazano wysiedlić 45.000 szlachty tak zwanej zagonowej t. j. małorolnej, a trybem życia nie różniącej się od włościan. Tych wysiedlonych pognano w dalekie strony, nad Czarne morze, nad rzeki Wołgę i Kuban.

W tymże czasie wyszedł nakaz zniesienia obrządku unickiego. Unitów było dużo na Litwie, jeszcze więcej było na Białej Rusi (w guberniach Mińskiej i Mohylewskiej). Stały dla nich ciężkie lata.

Burza nie była jednorazową. Jeszcze przez szereg lat po powstaniu listopadowym przychodziły wstrząśnienia, aczkolwiek już nie tak powszechne i głębokie.

W roku 1833 pojawiły się w Królestwie próby wzniecenia zbrojnego ruchu.

Na Litwie w związku z temi próbami Michał Wołłowicz zgromadził włościan i gotował się do uderzenia na załogę rosyjską w mieście Słonimie. Dostał się jednak do niewoli i zginął na szubienicy w Grodnie. Towarzyszącym mu włościan zesłano do kopalń w Sybirze. Sprawcą tych srogh wyroków był ówczesny gubernator grodzieński, głośny później i osławiony Murawjew.

Okolo roku 1839 przybył na Wołyń, a ztamtąd na Litwę, Szymon Konarski. Był on wysłannikiem związku, który się utworzył w Krakowie (potym we Lwowie) pod nazwą: „Stowarzyszenie ludu polskiego“. Konarski prowadził szeroką działalność i zyskiwał wielu zwolenników, ale w dość krótkim czasie dostał się w ręce policji. Uwięziono go w Wilnie i tam komisja śledcza chciała przymusić go do wyjawienia nazwisk współdziałających z nim ludzi. Przetrzymał wszystko, a nie wydał nikogo.

Wkońcu rozstrzelanym został na przedmieściu wileńskim Pohulance. Działo się to w 1839 roku.

W kilka lat później (w 1846), gdy w zaborze pruskim, zaborze austriackim i Królestwie gotowano się łącznie do nowego wybuchu, Litwa nie pozostała bezczynną. Wyznaczeni byli dwaj kierownicy, na Żmudź Magdziński, na właściwą Litwę—Jan Reer.

W ostatniej chwili zaszły różne zmiany.

W zaborze pruskim aresztowano przywódców.

W Galicji (zaborze austriackim) rząd namówił część ciemnych włościan do strasznej rzezi szlachty. Siły się rozpręgły.

Wybuch nastąpił częściowo, nie wszędzie, bo tylko w Krakowie i niektórych miejscowościach Galicji wschodniej, a w obrębie Królestwa w Siedlcach i powiecie Miechowskim.

Na Litwie do wystąpień zbrojnych wtedy nie przyszło, ale pod wpływem ogólnego poruszenia umysłów utworzyło się w Wilnie stowarzyszenie młodzieży, kierowane przez braci Dalewskich.

Po paru latach i wskutek przechodzących po całej Euro-

www.libtool.com.cn

pie wstrząśnień rewolucyjnych dojrzała w owym stowarzyszeniu myśl powstania.

Stało się jednak, że policja wpadła na jakieś tropy. po których postępując, wyłowiła kierowników całego przedsięwzięcia. Braci Dalewskich oraz wielu innych osądzono i zesłano do kopalń w Sybirze.

Był to w owym okresie ostatni wysiłek, zapanowała po nim cisza.

Taka cisza bywa zwykłym następstwem wzmożonego ruchu i gorącej, a nieszczęśliwej, walki. Jest to naturalny objaw wyczerpania, zniechęcenia, znużenia.

Na Litwie po r. 1850 był martwy spokój. I nietylko to, ale zastój. Znękanym trwoga nie dozwalała chcieć i w jakimkolwiek kierunku żywiej działać. Zresztą warunki pracy stawały się coraz trudniejsze. Przygasała oświata, zatamowane już były wszystkie źródła umysłowego rozwoju. Po upadku powstania 1831 roku rząd pozamykał wyższe zakłady naukowe, uniwersytety Warszawski i Wileński, oraz liceum w Krzemieńcu na Wołyniu.

Niebawem rozwiązano Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, bogatą bibliotekę wywieziono do Petersburga.

Dorastająca młodzież nie miała skąd czerpać nauki; utrudniono jej także kształcenie się zagranicą, wzbraniano wyjazdu osobom nie liczącym jeszcze lat 25-ciu. Starsi, o ile chcieli wyjechać, płacili za pasport bardzo duże pieniądze, po 200 rubli rocznie. Oczywiście nie każdy mógł sobie na to pozwolić.

Siedziano tedy w kraju jakby odciętym od szerokiego świata. Jeszcze przed tak niedawnym czasem prześwietny uniwersytet wileński rozsiewał wiedzę na całą Litwę. Teraz po światłości zgęszczający się mrok następował. Książki przedostawały się tylko z niezmierną trudnością. Cenzura nie wpuszczała do kraju dzieł historycznej, albo społecznej treści. Surowo zakazanemi były utwory Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Lelewela.

Słowem smutno było, ciężko i źle, a w tej atmosferze wysychały myśli i serca.

www.libtool.com.cn

Ówczesne warunki ekonomiczne, czyli gospodarcze i majątkowe, także niepomrotnie różniły się od dzisiejszych. Dzisiaj na Litwie, jak i wszędzie, wielka trudność w zdobyciu kawałka chleba, a dla rolników nietylko troski, ale nieraz niepodobieństwo utrzymania się na swoim i związania końca z końcem.

W owym zaś okresie, przed laty z górą 50-ciu, kraj, pomimo tak wielu spadających nań nieszczęść, posiadał jeszcze znaczną zamożność. Zamożność ta była przeważnie udziałem szlachty, która podówczas, jak wiemy, stanowiła jedyną wykształconą i świadomą warstwę narodu.

Chleba przeto nie brakło i to smacznego, a łatwego chleba. I stała się rzecz bardzo smutna, bo gdy wysychały stopniowo myśli i serca, ludzie jakby zapomnieli o nieszczęściu pospólnym, a mając zapewniony dobrobyt, jeśli go używać w sposób samolubny i, bez troski: jeść, pić, zabawiać się hucznie, szumnie, wesoło.

Rodzina małej Elizy Pawłowskiej należała także do bardzo zamożnych, mających na zawołanie wszelkie przyjemności i wygody. Dom w Milkowszczyźnie był obszerny i ogród bardzo piękny. Na zimę wyjeżdżano czasem do Grodna. Eliza z siostrą uczyły się pod kierunkiem nauczycielki, panny Kobylińskiej. Niewiele tam było tej nauki, bo w owym czasie uważano, iż kobiecie zamożnej najpotrzebniejszą jest znajomość obcych języków, muzyki, tańca. Na to więc przy wychowaniu dziewcząt kładziono nacisk, pomijając lub zaniedbując inne, naprawdę pożyteczne rzeczy.

Panna Kobylińska, jako nauczycielka niewystarczająca, posiadała jednak cenne przymioty: lubiła dzieci i potrafiła zdobyć sobie ich przywiązanie.

Umiała przytym, co jest niezmiernie ważne, rozbudzać dusze dziecięce do pięknych, dobrych uczuć. Zazwyczaj o szarej godzinie opowiadała dziewczynkom o wielkich zdarzeniach dziejowych, o wzniosłych i bohaterskich czynach.

Uczyła je ulubionych podówczas, a do dnia dzisiejszego nam miłych, śpiewów historycznych Niemcewicza.

Niejedno ziarno musiało w ten sposób niepostrzeżenie zapaść w duszę małej Elizy.

Prócz panny Kobylińskiej była jeszcze Niemka dla wprawy w tym języku.

Obyczaj sprowadzania guwernantek cudzoziemek rozwielmożniony był wtedy powszechnie. Niestety, i dziś się to często zdarza, chociaż społeczeństwo zmieniło się i poprostu zmądrzało pod niejednym względem.

Mała Eliza, żywa, pojętna, zdolna, niedostateczność pobieranej nauki wynagradzała sobie czytaniem: po nieboszczyku ojcu zostało dużo dobrych książek. Okazywała także wielką chęć i łatwość do układania i opowiadania różnych bajek i powieści. Nauczycielka z tego powodu wróżyła jej na przyszłość zdolności pisarskie.

Tak upływało życie tym dzieciom w zaciszu, w wygodzie wszelkiej, bez chwilowego bodaj zetknięcia się z troską i nędzą ludzką. Młody wiek nie pozwalał im pamiętać i myśleć o minionych, aczkolwiek tak niedawnych burzach krajowych i klęskach.

W roku 1850 Eliza po raz pierwszy odbyła dłuższą podróż, jeździła z babką do Wilna.

Jeśli do niektórych miejscowości na Litwie całkiem słusznie możnaby przystosować wyrażenia Wincentego Pola o kraju „zapadłym, równym, sennym“, to rzecz ma się inaczej, gdy mowa o stolicy, o Wilnie.

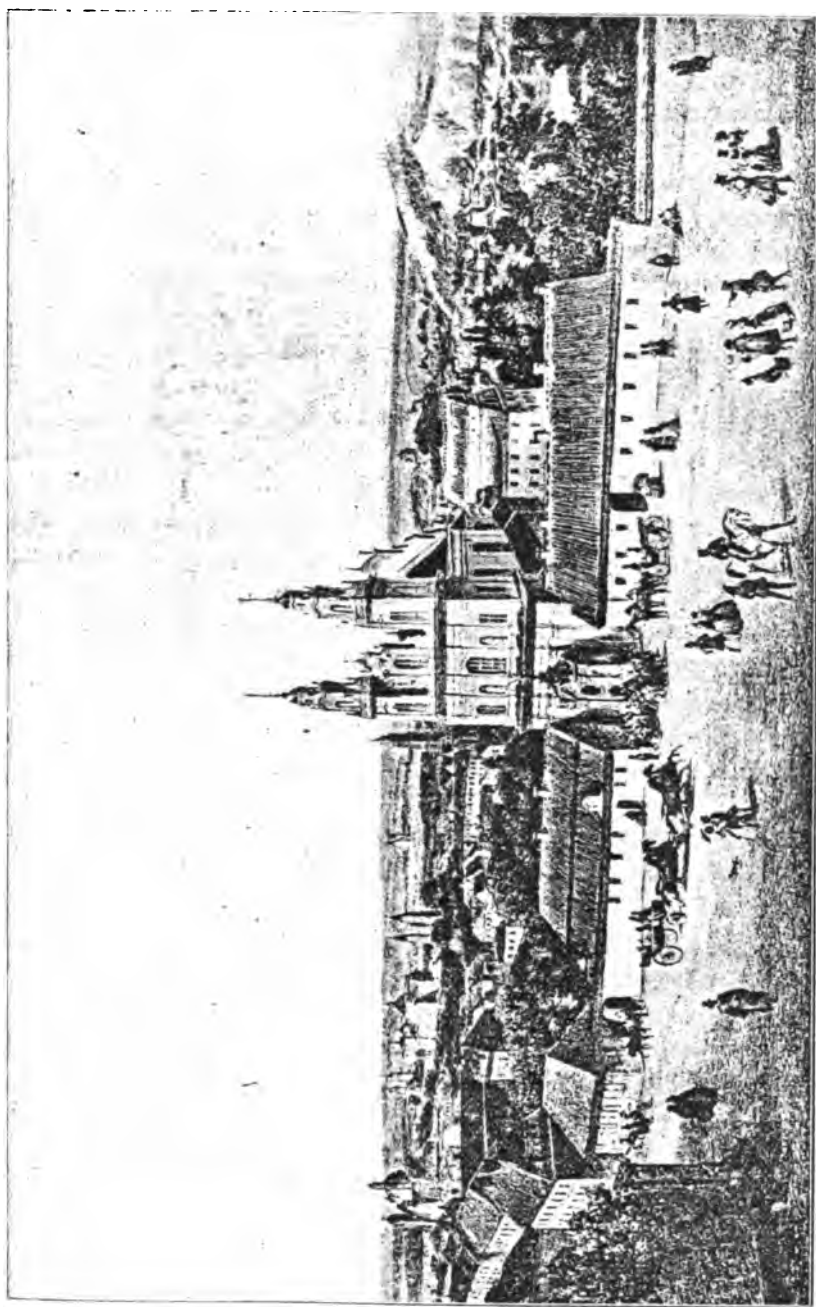
Z Grodna ku Wilnu trzeba jechać w kierunku wschodnio-północnym. Odległość dosyć znaczna. Dzisiaj koleją żelazną kilka godzin, ale w owym czasie jechało się oczywiście końmi, a więc daleko dłużej, z przestankami i popasywaniem.

Zielone góry z trzech stron: od zachodu, południa i wschodu otaczają falistą, bardzo piękną dolinę. Od strony północnej widać płynącą skrętem Wilję, rzekę, o której pisze Mickiewicz:

„Wilja naszych strumieni rodzica,
dno ma złociste i błękitne lica“...

www.libtool.com.cn

— 17 —



WILNO.



Z szumem, gwarem i wód śpiewaniem wpada tu do Wilji Wilenka, wązka rzeczka, ale niezmiernie bystra i rwąca; u podnóża gór Trzykrzyżkiej i Zamkowej po kamieniach leci spieniona.

W takiej to miejscowości, zaprawdę niepospolicie uroczej, powstało przed wiekami prastare Wilno. O początkach miasta nie wiemy nic pewnego. Jest podanie mówiące, że zamek obronny wystawił książę litewski Gedymін w pierwszych latach XIV wieku.

W dziejach Litwy potężnymi rysami zaznacza się ta postać Gedymіna. Wielki był mąż i wielki rycerz.

Współczesny temu księciu panował w Polsce niemniej chrobry Władysław Łokietek. Pomiędzy dwoma władcami zadzierzgnęły się pierwsze węzły mającego już wkrótce nastąpić połączenia narodów i krajów. Przymierze Gedymіna z Łokietkiem utwierdzone zostało małżeństwem królewicza polskiego Kazimierza z księżniczką Aldoną.

Wilno jako stolica nie utraciło swego znaczenia w wieku następnym XV, po dokonanej już unji Litwy z Polską. Przebywali tu wyznaczeni przez królów zarządzający książęta, przemieszkiwali też bardzo często sami królowie. Ród Jagiellonów, potomków Gedymіnowych, miłował litewskie stołeczne miasto.

Gdyby spojrzeć na przeszłość onego miasta, ujrzelibyśmy długie pasmo dni rozmaitych, i świetnych a barwnych, i żałobnych. Ziemia tu pełna wspomnień.

Jako świadectwo najdawniejszej, pogańskiej jeszcze doby, wznosi się na zielonej, dość wysokiej, górze szczątek książęcego ongi zamku. Po wprowadzeniu do Litwy chrześcijańskiej wiary zamczysko zamieszkiwali niejednokrotnie królowie. Dzisiaj ostał zrab jeden ceglany mur i dolna część potężnej obronnej wieży.

U stóp Zamkowej Góry, na obszernym katedralnym placu, czasy pogańskie pamięta okrągła o grubych murach baszta, która niewątpliwie była przynależnością prastarej litewskiej świątyni.

Zachowane są owej baszty dwa piętra, na których

www.libtool.com.cn

.....

w późniejszym okresie wzniesiono kilka innych; powstała w taki sposób wysoka katedralna dzwonnica.

Świadcami dziejów Wilna od chwili zaprowadzenia chrześcijaństwa są liczne kościoły.

Najwięcej pamiątek zawiera w sobie katedra. Tu jest prześliczna kaplica, poświęcona czci królewicza, patrona Litwy, Kazimierza z rodu Jagiellonów. W kaplicy srebrna trumna z relikwiami świętego, srebrne posągi królów Rzeczypospolitej i cudnej roboty kazalnica, z której przemawiał człowiek wielkiego i proroczego ducha, ksiądz Skarga. W podziemiach katedry pogrzebani król Aleksander Jagiellończyk, królowa Barbara, żona Zygmunta Augusta, i dzielny bohaterski książę Witold.

Osobliwsze znaczenie posiada nietylko dla Wilna, ale dla całej Litwy, niewielka kapliczka, umieszczona nad starożytną głęboką bramą w wąskiej ulicy. Kapliczka, a od imienia jej także ulica, nazywa się Ostrobramską. Wewnątrz kaplicy w ołtarzu znajduje się obraz N. Panny Marii. Jest on drogi sercom wielu tysięcy ludzi i po wszystkich ziemiach b. Rzeczypospolitej czczony narówni z wizerunkiem Częstochowskiej na Jasnej Górze.

Mickiewicz pisał:

„Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy i w Ostrej świecisz Bramie”...

Obok starożytnego kościoła św. Jana widnieje gmach dosyć obszerny po dawnej akademji i uniwersytecie.

Wilno w przeciągu wieków niejednokrotnie wrzało ruchem i życiem. Trudnoby temu dziś uwierzyć.

Ostatnią a najpiękniejszą dobą takiego ożywienia były pierwsze dziesiątki ubiegłego XIX stulecia.

Rozwijał się wtedy właśnie, jaśniał i działał przesławny uniwersytet wileński.

Nauczali tacy mężowie, jak znakomity historyk Lelewel i głośni na całą Europę Sniadeccy, z których jeden wykładał astronomję i matematykę (naukę o gwiazdach i naukę o liczbach), drugi zaś medycynę. Uczniowie byli tacy, jak Adam Mickiewicz i grono jego przyjaciół: Tomasz Zan, Czeczott,



Ostra-Brama w Wilnie.

www.libtool.com.cn

Domeyko, wszyscy w następstwie ludzie światłego umysłu i zacnego serca, dobrze zasłużeni krajowi.

Wspomina się te czasy, w szczególności mijając kościół św. Jana. Tu bowiem w gmachu przy kościele mieściła się owa zaiste wiekopomna szkoła.

W roku 1850, gdy mała Eliza Pawłowska po raz pierwszy widziała stolicę Litwy, uniwersytet, jak już wiemy, od kilkunastu lat był zniesiony. Pamięć o nim jednakże trwała, bliska jeszcze i żywa. Dziecko zapewne słyszało opowieści o słynnej szkole i dobrodziejstwach, które od niej na kraj płynęły.

Musiało to utkwąć w myśli, pozostać we wrażliwej duszy.

Zresztą w owym roku 1850, po wywiezieniu na Sybir braci Dalewskich, zalegała już Wilno i całą Litwę czasowa umysłów i serc martwota.

Doniosłym zdarzeniem i pierwszą boleścią w życiu Elizy była śmierć siostry.

Nastąpiło to w 1852 r. Osamotnioną teraz, dziesięcioletnią dziewczynkę uradzono oddać na pensję do klasztoru Sakramentek w Warszawie. Odwiozła ją tam babka. Przez lat pięć nie zabierano jej wcale do domu, ze względu na odległość i uciążliwość podróży. Kolei żelaznych podówczas w kraju naszym jeszcze nie było.

W klasztorze dziewczynce powodziło się dobrze. Zakonnice troskliwe były i łagodne.

Z miasta przychodzili nauczyciele: historii, geografji, literatury polskiej, rachunków, muzyki i tańca. Na ogół, podobnie jak i w domowym wychowaniu, nauki było niewiele. Niektórych bardzo potrzebnych przedmiotów nie wykładano wcale, np. nauk przyrodniczych, czyli o różnych zjawiskach zachodzących w świecie, o zwierzętach, roślinach i t. d. Według ówczesnych mylnych pojęć to wszystko zbytecznym było dla kobiety.

Natomiast zwracano przesadną uwagę na obce języki. Pensjonarki zmuszano do mówienia pomiędzy sobą kolejno po francusku i po niemiecku.

Eliza Pawłowska uczyła się z łatwością. Szczególniej poczęła się w niej rozwijać przyrodzona zdolność pisarska.



Dawny Uniwersytet w Wilnie.

Bardzo chętnie i bez trudu odrabiała za koleżanki zadawane ćwiczenia.

www.libtool.com.cn

1

.

Przytym czytywała dość wiele. Nauczyciel literatury polskiej umiejętnie zachęcał ją do tego. Poznała poezję Mickiewicza, jako też utwory Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Syrokomli.

Pięć lat upłynęło.

Na wiosnę w 1857 roku matka przyjechała, by zabrać piętnastoletnią już wtedy córkę. Wychowanie uważało się za skończone. Nikomu nie przychodziło na myśl, że po wyjściu ze szkoły dziewczyna powinna w jakim obranym, a odpowiednim dla siebie, kierunku pracować.

Od córek zamożnych domów szlacheckich nie wymagano podówczas żadnej pracy. Żadne troski nie otwierały dziewczętom oczu na życie i jego prawdziwe zadania. Przy istniejącej jeszcze pańszczyźnie gospodarstwo rolne szło trybem dla właściciela łatwym, nie dopuszczającym wielkich kłopotów. Chleb był obfity, a myśl, jak to wiemy, ociężała właśnie i stała się senna.

W odrętwieniu uczuć obywatelskich jadła, piła i bawiła się szlachta.

Eliza Pawłowska, od śmierci siostry jedyna dziedziczka wsi Milkowszczyzny, w klasztornej szkole nieraz pocziwym dziecięcym uczuciem obejmowała dolę tych włościan, o których wiedziała, że przecież na nią pracują. Układała to sobie, jak po dojściu do lat i woli własnej, ową dolę odmieniać i poprawiać będzie.

Jednakże, gdy ją matka zabrała do domu, a z tamtąd na zimę do Grodna, gdzie rychło ją pogrążono w wir zabaw, wszelkie podobne myśli musiały wywietrzeć z młodej głowy. Do zastanowienia się nad czymkolwiek poważnym sposobności nie było. Czas upływał na tańcach i rozrywkach wszelkiego rodzaju.

Dużo zamożnych rodzin mieszkało podówczas w Grodnie, odwiedzano i zapraszano się wzajemnie.

Tejże zimy matka wydała Elizę za starszego od niej o lat dwadzieścia Piotra Orzeszkę, właściciela dużej wsi na Polesiu.

Pierwsze lata małżeńskiego pożycia upłynęły w podo-

www.libtool.com.cn

bnie lekki, przyjemny sposób. Odwiedziny w sąsiedztwie, albo też podejmowanie u siebie licznych gości, gwar, wesołość, zabawa.

Jednakże od czasu do czasu coś się przejawiało w młodej kobiecie, czego sama pojąć nie mogła.

Mężowska wieś Ludwinowo położona była pośród lasów i łąk wilgotnych, z których przy końcu lata i w jesieni dobywały się białe opary. Zdarzało się dziedzicznie wynieść na pole i widzieć w onej mgłę ponurzone postacie oraczy—chłopów...

Wówczas robiło się jej beznamiętnie przykro i uczuwała chęć nagłą wstąpienia we mgłę, na te zagony, zbliżenia się do tych ciemnych, pochylonych ludzi i uczynienia dla nich—czego? Właściwie nie wiedziała sama.

Serce uczciwe było i gorące, a jeno jeszcze uszpięta tak potrzebna świadomość.

Nadeszło przebudzenie.

Był rok 1860.

Nie można powstrzymać życia. Prześladowania częstokroć ogromnie opóźniają jego rozwój, ale całkowicie zniszczyć nie mogą. Na Litwie znękaney wielu stratami i która, zda się, od lat dziesięciu zapadła była w stan beznamiętności i martwoty, pojawiły się nagle świeże, ożywcze prądy.

Podobnie działo się i w tak zwanym kongresowym Królestwie Polskim. Wszędy powiew — jak wiatr wiosenny po ziemi.

Poruszyły się myśli, zabiły żywiej serca.

Sprzyjały temu wieści o niepowszędnym wypadku. Oto w Europie południowej Włochy, od bardzo dawna na części rozdarte i w większości austriackiemu jarzmu podległe, porwały się do broni.

Przy pomocy Francji uwięczyły walkę zwycięstwem. Posiadły jedność i niepodległość państwową.

Doniosły wypadek, — zaiste, wywołujący ogromne wrażenie.

Jakieś widsenne ciepło odczuwało się, jak to mówią, w powietrzu.

www.libtool.com.cn

W państwie rosyjskim zanosilo się na pewne wewnętrzne zmiany. Chodziło o rzecz ogromnej wagi, o zamierzone nareszcie uwolnienie i uwłaszczenie włościan.

Na Litwie lepsza część szlachty oddawna już odczuwała potrzebę tego kroku. Wszakże przed laty udawali się delegaci litewscy do cesarza Aleksandra I z przełożeniem i prośbą w tej sprawie. Wówczas starania ich odrzuconemi zostały, a to ze względu, że myśl uwolnienia ludu byłaby napotkała niechybny, gwałtowny opór w rdzennej, głębokiej Rosji, oczywiście ze strony tamtejszych właścicieli ziemskich.

Upłynęły lata.

Gdy teraz, w 1860 roku, rząd zajął się odkładaną tak długo, doniosłą sprawą włościańską, rzecz prosta, iż wśród mieszkańców Litwy poruszyło się serc i umysłów wiele. Pojawily się także sprzeczności i zdań różnice. Toczono ożywione rozprawy. Byli, którzy samolubstwem i chciwością wiedzeni, z niechęcią odnosili się do blizkiej już zmiany,— ale nie brakło rozumniejszych i uczciwszych, wyglądających jej z upragnieniem gorącym.

Do tych ostatnich całą swą młodą duszą przyłączyła się Orzeszkowa.

Szczerym i kochającym swój naród ludziom nie wystarczyło sprzyjanie obiecywanej reformie. Postanowili nie zwłócząc i w miarę całej możności przyczyniać się do podniesienia wśród włościan dobrobytu i do krzewienia oświaty.

Wiele natenczas uczyniono w tym względzie po całym kraju. Na nieszczęście niebawem wszystko to w niwecz miało być obróconym.

Orzeszkowa pospołu ze szwagrem, młodszym bratem męża, założyła w Ludwinowie szkołkę początkową dla wiejskich dzieci.

Mąż, o ile się zdaje, zapalu żony swej nie podzielał, raczej niechętnym był całej sprawie. Wychodziły teraz na jaw dobitnie codzien większe między tych dwojgiem przeciwieństwa i nieporozumienia.

www.libtool.com.cn

Młoda kobieta rozwijała się szybko w ożywczym tchnieniu chwili.

Rychło poznała, jak marnym użyciem czasu jest szukanie li tylko własnej rozrywki i wygody. Rychło zapragnęła kształcić się i oświecać. Więc sprowadzała sobie książki i dzienniki, czytając pilnie i zapisując myśli, które się nastroczały, oraz doznawane wrażenia. Więc gorliwie przysłuchiwała się wszystkiemu, co wkoło niej mówiono, starała się wyrozumieć potrzeby, nędze i nadzieje społeczeństwa swojego.

Zmieniała się, dojrzewała.

Zapał dzieło rozpoczął, ból miał go wkrótce dokonać.

Przyszło powstanie 1863 roku. Trwało ono 16 miesięcy, od stycznia 1863 do sierpnia 1864 roku, a więc dłużej niż dawniejsze wybuchy.

Na Litwie jako przywódca odznaczył się Sierakowski, rozstrzelany następnie w Wilnie. Obok niego ksiądz Mackiewicz, który prowadził do boju włościan zmudzkich. Ujęty przez władze rosyjskie, zginął na szubienicy.

Z Litwy pochodził Romuald Traugut, jeden z członków rządu narodowego, powieszony w cytadeli warszawskiej 5 sierpnia 1864 roku.

Do stłumienia powstania użyci zostali: w Królestwie Berg, na Litwie Michał Murawiew.

Po paru latach rządów Murawjewa kraj litewski wyglądał jak po przejściu najstraszliwszej burzy. Ilość ofiar trudna do policzenia, krwi popłynęło mnóstwo. A z pomiędzy tych, którzy utrzymali się przy życiu, ileż serc zdruzgotanych, zwichniętych myśli, połamanych zamiarów! Zaprawdę, trzeba było niemałej siły, aby się jakoś nie dać, nie oszaleć w tej nędzy, pozostać przecie człowiekiem.

Do szczupłej liczby silnych należała, aczkolwiek jeszcze wiekiem niedoświadczona, Eliza Orzeszkowa. Jeśli się do niej teraz wrócimy myślą, znajdziemy ją zamieszkałą już nie w męzowskim Ludwinowie, ale w rodzinnej wsi Milkowszczyźnie. Ujrzymy ją całkiem inną, wyrobioną, świadomą

celów swoich i pragnień, oddaną mądrej pisarskiej pracy, która jej odtąd wypełniać miała życie.

Wszystkie okropności, na które w ciągu lat 1863 i 64 patrzała Orzeszkowa, musiały do głębi wstrząsnąć młodą i skłoną do zacnych uczuć istotą. Nadzieje, wraz z całym społeczeństwem żywione, podniosły i przetworzyły duszę, a następujące po nich straszne zawody dały jej z pewnością zaznać tego, co jest najcięższym na świecie, a więc rozpacz. Jednakże serca miłością silne nie niszczą nawet przez rozpacz. Po niejakiem czasie podnosi je gorąca wola ratowania tego, co ukochały.

I stało się to dźwignią dla Orzeszkowej na całe życie. I dlatego to dzieje jej obfitych zasług splatają się z dziejami Litwy w ciągu ostatnich lat czterdziestu.

Zamieszkała u siebie, w zupełnej niezależności od męża, z którym trzeba się było rozejść, miała teraz czasu do woli i osobistą swobodę. Jakże to zużytkować najlepiej? w jaki sposób przystąpić do służby obywatelskiej, narodowej? Przecież — zdawało się narażać, iż niema nic, tylko gruzy.

Prawdziwa miłość posiada w sobie zawsze wiarę; dzielne i kochające serce Orzeszkowej umiało pomimo wszystko dopatrzeć się pod gruzami tlejących oznak stłumionego życia. Oto jeszcze jest naród i jest dla kogo pracować!

Tyle ran w ciele nieszczęsnym tego narodu, tyle niebezpieczeństw wokoło jego głowy; a w nim samym zgubnych nałogów, przesądów i zaślepienia tak bardzo dużo.

To ostatnie tymbardziej odczuwała Orzeszkowa, że stosunkowo niedawno i własnym gorliwym staraniem zdołała się wyzbyć podobnych niedostatków i wadliwości, narzuconych przez ówczesny tryb wychowania.

Teraz posiadała już w sobie dużo światła i sprawiedliwego sądu o rzeczach.

www.libtool.com.cn

.

Gorąco niewymownie pragnęła wyprostować krzywizny i siać zdrowe ziarno.

Jakiemi środkami i jaką mocą?

W ujarzmionym kraju niemal każdy żywszy czyn był wzbroniony. Pozostawała jedyna, aczkolwiek przez cenzurę uciśniona, możność służenia społeczeństwu piórem.

Ozwały się u Orzeszkowej przyrodzone zdolności pisarskie, poczęły się rozwijać. W roku 1866 drukowano jej pierwszy utwór, a odtąd pracowała niezmordowanie.

W początkowych swych dziełach była jak ten, co zbliżka patrzy na ogrom nieszczęścia. Z bardzo bliska, azatem całości ogarnąć nie jest w stanie, a może i nie odważa się jeszcze dla sił niedosyc wyrobionych i zbyt świeżego bólu.

Nie przedstawiała ogólnego położenia rzeczy,—narazie występując przeciwko poszczególnym, najbardziej kłującym w oczy nałogom, przesądom i wadom. A miała na to wzrok niezwykajnie bystry.

Powieści jej wytykały: niesprawiedliwość i płochość, plotkarstwo i kłamstwo, próżność i zawieranie małżeństwa bez uczciwej miłości. Są to ogólnoludzkie zboczenia, ale groźniejsze, niżli gdzieindziej, w ogarniętym przez obcych narodzie. Takiemu narodowi bardziej niżeli innym potrzeba mocnego charakteru, odwagi i prawości.

Niebawem dotarła Orzeszkowa do wad szczególnie właściwych społeczeństwu naszemu. Jęła powstawać na znaną u nas aż nadto dobrze lekkomyślność i leniwe powierzanie się łasce losu.

Tytuły powieści w okresie tym pisanych są: „Rozstajne drogi“, „Ostatnia miłość“, „Na prowincji“, „W klatce“, „Wesoła teoria, a smutna praktyka“ i innych parę.

Stopniowo coraz większy zakres ogarniała wzrokiem swym Orzeszkowa. Rozróżniała już snadnie przyczyny wytykanych przez się błędów i ułomności. Bardzo słusznie jako głębokie źródło złego przedstawiało się jej wadliwe wychowanie płci obojej, brak w nim przygotowania do życia, brak nauki o czekających obowiązkach obywatelskich i ciężkiej pracy.

www.libtool.com.cn

,

1

Myśli swoje o tym i spostrzeżenia szeroko rozwijała Orzeszkowa w powieściach p. t. „Pan Graba“ i „Pamiętnik Wacławy“.

Właściwie mówiąc, rzeczy tego rodzaju wcale nie najlepiej i nie najdogodniej jest poruszać w opowiadaniu, w powieści.

W innych, szczęśliwszych krajach, przy normalnych, sprawiedliwych warunkach, mogą służyć po temu artykuły w gazetach, publiczne przemowy i wykłady, różne urządzenia społeczne. Ale u nas i szczególnie wtedy? W gazetach nie można było nic nazywać po imieniu; odczyty żadne nie miały miejsca, wzbraniano onych, zarówno jak wszelkich związków, towarzystw i t. p. instytucyj mających na celu pożytek społeczeństwa.

I jakże sobie radzić w podobnych okolicznościach? Pod kształtem powieści jeszcze najłatwiej można było objawić myśl krzepką, zdrową, i podać ją ogółowi.

Ztąd powieść stała się dla wielu prawdziwym narzędziem działania. W liczbie ich najprzedniejsza jest Orzeszkowa.

Życie jej osobiste coraz bardziej zmieniało się w pracę, która spleciona była z losami narodu.

Jeżeli cały stan rzeczy ówczesny porównamy ze smutnym okresem pomiędzy 1850 a 60-ym rokiem, ujrzymy nawet w podobnym zestawieniu przeraźliwą różnicę. Wówczas po 1850 było źle i ciężko, teraz poprostu okropnie.

Wówczas był zastój, teraz niszczenie życia, wszelkich jego objawów i dążeń; ostateczna nędza narzucona umysłom i sercom.

Ludzie wcale nie drętwieli i nie zasypiali, jak wtedy, ale psuli się wskutek straszliwych warunków, wyrzekali się wszystkiego, co dobre, ulegali stopniowo zgniliznie duszy.

Jakieże ogromnej miłości dla społeczeństwa dowodzi człowiek, który, jak Orzeszkowa, nie zraził się i nie zwątpił, nie upadł na siłach, owszem nie przestawał pracować. Orzeszkowa przez całe życie nie opuszczała Litwy; czterdzieści lat przebyła najpierw w swej Milkowszczyźnie, a potem w Grodnie.

www.libtool.com.cn

Obszerną książką jest powieść p. t. „Rodzina Brochwiczów”.

Orzeszkowej, gdy ją pisała, już nie chodziło o wykazanie jakiegoś poszczególnego błędu. Tu szło o rzeczy znaczne i bardzo zagrożone. Był czas przewrotu gospodarczego, stało się tak z powodu uwłaszczenia i zniesienia pańszczyzny. Przewrót pożądanym i koniecznym, bo przynosił sprawiedliwsze w społeczeństwie stosunki. To było dodatnie, dobre. Ale istniała i druga, groźna strona. Mianowicie: aby taki przewrót przetrzymać, cała część narodu, dotychczasowi właściciele ziemscy powinni byli posiadać sprężystość, hart, pracowitość, umiejętność rachunku. A tymczasem tych zalet właśnie brakło. Widziała to Orzeszkowa. Rozumiała, iż ci ludzie w trudnościach wklęają się, nie umieją poradzić sobie, giną. Był to odłam narodu wychowany w łatwym dostatku i w miękkości, znanej jej z osobistego doświadczenia.

Kontrybucja przez rząd nałożona przyczyniała się do ciężkości chwili.

Oczywiście, zniknięcie większej własności ziemskiej samo przez się nie stanowi straty dla kraju. Wśród normalnych, sprawiedliwych warunków postęp musi prowadzić i doprowadzić do tego, by wielka własność ustąpiła kolei gospodarstwom drobnym, a dobrze postawionym. Jest to pożądanym i naturalnym,—ale, powtórzmy, „wśród sprawiedliwych warunków. Nie tak było w sprawie, o której piszemy.

Ziemi, wychodzącej z rąk zrujnowanego właściciela, nie mógł przecie nabyć już nikt z pomiędzy jego narodu, ani bogaty, ani mało zamożny, ani w całości, ani w części, nikt i za żadną cenę,—a rodzona to przecie ziemia.

I jeszcze jedno. Do tej warstwy, która uwikłana teraz w ciężkie kłopoty, niszczała, przywiązana była jednakże cała dotychczasowa tradycja i kultura kraju. Z upadkiem tych ludzi ponosiła wielki uszczerbek znamienna oświata dana przez Polskę Litwie. A nie powstawało jeszcze nic na to miejsce. Otwierały się ciemności i pustka.

Grozę tych rzeczy odczuwała Orzeszkowa troską i nie-

www.libtool.com.cn

ustającym bólem. Pisała o tym w powieści „Rodzina Brochwiczów”, a potem jeszcze w wielu utworach innych, obszerniejszych i krótszych, dotykając tego mniej, albo więcej, zawsze rozumiejąc to głęboko, boleśnie, zawsze nawołując społeczeństwo do obrony, do bacności, do pracy.

Jedną z najpiękniej napisanych powieści Orzeszkowej jest „Meir Ezefowicz”.

Kochając naród swój tak troskliwie, musiała ta autorka ogarniać myślą wszystkie sprawy mające z tym narodem bezpośrednią styczność, zewnętrzne i wewnętrzne jego stosunki. Z tego powodu uwagę jej ściągnęła na siebie w bardzo silnym stopniu sprawa żydowska.

Od wieków mieszka w kraju naszym ten lud wielotyśny, zawsze w sobie zamknięty, zawsze obcy tej ziemi, która go żywi, a często nieprzychylny. Nie możemy pominąć obojętności tego współmieszkańca. Jego dotychczasowa obcość i nieprzychylność to jest wielkie zło wewnętrzne w kraju naszym, a jego liczebność powiększa wagę tej sprawy. Rozmyślając nad tym, a głęboko pragnąc, aby inaczej było, Orzeszkowa starała się bliżej poznać społeczeństwo żydowskie, albowiem nie znając, nie można działać.

I zajrzała w głąb bytu tego ludu, i ścisnęło się jej odczuwające wszelką nędzę serce.

Obaczyła ciemność, i tyle w niej cierpienia, i tyle zła, i tyle bolesnych przesądów, a wszystko właśnie z owego braku światła.

W powieści p. t. „Meir Ezefowicz” opisane jest małe miasteczko Szybów. Leży ono w zapadłym, głuchym, najbardziej oddalonym zakątku Białejrusi. Białorusią nazywamy ziemię wchodzącą w skład dzisiejszych guberni Witebskiej i Mohylewskiej.

Północną część tej ziemi leży nad rzeką Dźwiną; środkowa i południowa nad górnym i średnim biegiem Dniepru. Od prastarych czasów należała Białoruś do Litwy i razem

1

www.libtool.com.cn

z nią przystąpiła do unji tworzącej wielką Rzeczpospolitą Polską.

Mieścina Szybów, jak to często w kraju naszym, zamieszkaną była wyłącznie przez żydów. Z ludnością otaczającą, tuziemną, mieli oni, jak prawie zawsze u nas, stosunki tylko handlowe i niezyczliwe. Byli jakby wyspą na wodzie, albo domem szczelnie zamkniętym dla otoczenia.

A co się tam wewnątrz działo?

Kiedys przed wiekami stała się w Szybowie rzecz wielkiej wagi. Była tam rodzina Ezefowiczów, jedna z tych, „które za królów Jagiellonów pod wpływem praw i zwyczajów wytworzonych niezwykle wysokim na one czasy stanem oświaty w Polsce, życzliwemi węzły połączyły się z ludnością miejscową”.

Wiek to był XVI, „złoty wiek”, w którym wszystko zapowiadało się i rozwijało wspaniale dla rzetelnego dobra i chwały Rzeczypospolitej, ku istotnemu szczęściu wszystkich zamieszkujących ją ludzi.

Król Zygmunt I jednego z rodu Ezefowiczów, Michała, uczynił seniorem czyli starszym nad żydami wszystkimi zamieszkującymi Białoruś i Litwę.

I wydał mu król taki dyplom:

„My, Zygmunt z Bożej łaski król Polski, Wielki Książę litewski, ruski, pruski, mazowiecki, żmudzki, kijowski, wołyński, podolski, podlaski, inflancki i t. d. i. t. d. wiadomym czynimy wszystkim Żydom zamieszkałym w państwie naszym, Ojczyźnie naszej. Zważywszy na wierne ku nam zasługi żyda Michała Ezefowicza i baczac, abyście w sprawach waszych z Nami w niczym nie doznawali przeszkody i opóźnienia, według sprawiedliwości stanowimy: aby Michał Ezefowicz wszystkie wasze sprawy przy Nas załatwiał i był nad wami wszystkimi starszym, a wy macie za jego pośrednictwem do Nas się udawać i być jemu we wszystkim uległymi”.

W ten sposób wyniesiony ponad współbraci senior Michał Ezefowicz wziął na się najszlachetniejsze zadanie podźwignięcia swojego ludu z umysłowej ciemnoty i ze spo-

.

.

łecznego ponizenia. Musiał posiadać umysł bystry i jasny, skoro z za wiekowych uprzedzeń i przesądów dojrzeć potrafił ducha czasu, oraz potrzeby najistotniejsze żydowskiej ludności, wielkiej rodziny swojej.

Pragnął przybliżyć ową ludność do narodu, wpośród którego obca żyła.

Pragnął dla braci swoich nauki oświecającej myśli i serca, a także wspólnego z polskim narodem obywatelskiego czucia.

Owe mądre i szlachetne dążenia napotkały, niestety, opór powstający ze zła i ciemności.

Orzeszkowa tak o tym pisze: „Była to właśnie pora, w której na Zachodzie wśród Izraelitów osiadłych w Hiszpanij i Francji podniósł się wielki spór o to, czy nauka świecka ma im być dozwoloną, czy też wzbronioną. Zdania ważyły się, lecz długo ważyć się nie mogły, gdyż stronnicy bezwarunkowego wyłączenia się Izraela z pośród umysłowych prac i dążeń ludzkości stanowili większość ogromną. Na społeczeństwo każde nachodzą niekiedy chwile takiego zapadania w ciemność. Zdarza się to wtedy najczęściej, gdy żywotność i energia narodu zmęczoną, uczuje się długim pasmem dokonanych wysiłen i przetrwanych męczarni, osłabioną potokami wylanej krwi. Żydzi z Europy zachodniej po kilku stuleciach istnienia w trwodze, tułactwie, we krwi i ogniu, przebywali w wieku XVI chwilę taką. Dalekiemi już były od nich czasy te, w których z łona ich powstawali sławni doktorowie umiejętności świeckich, miłowani przez samych królów; daleką od nich, zapomnianą i wzgardzoną była szeroka i wysoka myśl mędrca Majmonidesa, który utrzymywał, że „oczy umieszczone są z przodu głowy człowieka, nie zaś z tyłu, dlatego, aby wolno mu było patrzeć przed siebie“ i przepowiadał za prorokiem Jezejaszem, „że świat cały napełni się wiedzą [tak, jak wodą napełnione są otchłanie morza“... Olbrzyma (Majmonidesa) z orlim wzrokiem i płomiennym sercem zastąpiły karty o piersi zmęczonej i przesyconej goryczą, z okiem spoglądającym na świat mętnie, ciasno, podejrzliwie...

Rabini i naczelnicy gmin żydowskich na Zachodzie wydali rozkaz, ażeby nikt przed skończeniem 30-stu lat życia nie śmiał się krzątać około nauki świeckiej.

Stało się, jak nakazany było... Umysły stępiły się, pamięć zmęczona omdlała, opadły siły i chęci młodości...

Takież same spory w tymże samym czasie powstały i wśród Izraelitów w Polsce osiadłych; tylko że nie tyle zmuszeni udręczeniami, których doświadczali nieskończenie mniej niż współbracia ich na Zachodzie, swobodniejsi, pewniejsi praw swych do bytu i przyszłości, mniej też namiętny wstręt okazywali do „obcych płomieni“ czyli nie żydowskiej, świeckiej, powszechnej wiedzy. Owszem, pod wpływem i za przewodnictwem Seniora Ezełowicza utworzyło się nawet wśród Żydów w Polsce stronnictwo, które „wielkim głosem wołało o naukę świecką, o pobratanie się z resztą ludności w umysłowych trudach i dążeniach...

Staraniem Seniora wydaną została do wszystkich żydów polskich odezwa, której myśl główna zawierała się w następujących słowach.

„Jehowa ma liczne anioły; Adam miał różne doskonałości; Izraelita też na jednej nauce religijnej przystawać nie powinien. Pierwsza jest święta nauka (Biblii i Talmudu), ale czyliż dlatego nie mamy mniej smacznego jeść jabłka? Byli Żydzi u królów na dworze, Mardocheusz był uczonym, Ester była mądra, Nehemiasz był radcą — i lud wybawili z niewoli. Uczcie się, bądźcie użytecznymi, a będą was szanować.

Ile gwiazd na niebie, ile piasku w morzu, tyle jest żydów na świecie, ale nie świecą oni jako gwiazdy, lecz każdy ich depce jako piasek... Jednakże rzuci wiatr nasiona różnych drzew i nikt się nie pyta: skąd najpyszniejsze drzewo ma pochód; czemużby i z nas cedr libański miasto tarniny powstać nie mógł?”

I oto, gdy się rozszerzała, już mając skutek, owa mądra odezwa, przybył z Hiszpanji do Polski żyd Nehemiasz Todros, jeden z najzagorzalszych przeciwników oświecenia i łączności z innymi narodami, a zamykany w suchych, cia-

snych i ciemnych przepisach, które z biegiem wieków zepsowały były religją Izraela.

Nehemiasz Todros osiadł w rodzinnym Ezełowiczów miasteczku Szybowie.

Szlachetne usiłowania Seniora znalazły w tym zbalamuconym człowieku zawziętego, zatwardziałego wroga.

Wynik starcia był opłakany dla dobrej sprawy. Orzeszkowa pisze, iż „podania, świętobliwie przechowywane w łonach rodzin, opiewają, jako w walce, która się długo toczyła pomiędzy Michałem Ezełowiczem Żydem zdawna polskim, a Nehemiaszem Todrosem, hiszpańskim przybyszem, pierwszy zwyciężonym został. Strawiony zgryzotą, którą sprawiał mu widok ludu jego zwracającego się na drogi błędne, umarł on w sile wieku. Imię jego przechowywane było w rodzie Ezełowiczów z pokolenia w pokolenie. Wszyscy oni szczycili się tym wspomnieniem, jakkolwiek z upływem czasu coraz mniej rozumieli jego istotne znaczenie”.

Oddali się Ezełowicze zabiegom około powiększenia osobistego majątku i „dumni zdobytą potęgą kruszcu, przestali całkiem troszczyć się o inną, o tę potęgę wpływów na ducha i los narodu, którą posiadał pradziad ich, a którą nawzawsze, zda się, wydarli im z rąk Todrosowie”. Ci ostatni żyli w ubóstwie, w małej chatce przy domu modlitwy; ale słynęli szeroko na wszystkie strony Białorusi i Litwy. Byli rabinami z ojca na syna, i to rabinami, których niezmiernie czczono.

I raz już tylko w przeciągu dwu wieków jeden z Ezełowiczów pokusił się o stawienie czoła Todrosom i wydobycia na jaw zapomnianych przekonań pradziada Seniora. Było to w końcu XVIII wieku, w czasie gdy zasiadł w Warszawie wielki, niezapomniany sejm czteroletni, prawdziwy dowód odrodzenia narodowego. Na wielkim sejmie, przy poruszaniu i odnowie wszystkich stosunków i urządzeń Rzeczypospolitej, nie mogła być pominięta i sprawa żydowska.

Gorącym onej rzecznikiem był poseł piński Mateusz Butrymowicz, myśliciel, który widział „jasno i daleko”.

Napisał Butrymowicz dziełko p. t. „Sposób uformowa-

nia żydów polskich w pożytecznych krajowi obywatelów". O piśmie owym rozprawiano wiele a żywo w sejmie i w mieście. Największy nacisk słusznie kładziono na potrzebę oświaty i obywatelskiego odtąd wychowania żydowskiej młodzieży. Niebawem sejm wyznaczył „deputacją do ułożenia projektu reformy Żydów". Można się było spodziewać zmian doniosłych i zbawczych.

Ludność żydowska po całym kraju nadstawiała ucha z ciekawością, a także z pragnieniem, albo obawą. Utworzyły się znowu dwa, różniące się w swych poglądach obozy. W Szybowie na czele tych, którzy pragnęli i sprzyjali, był prawnuk Seniora Hersz Ezełowicz; na czele nienawidzących i pełnych uprzedzenia Nochim, — potomek Nehemiasza Todrosa.

Gdy do miasteczka nadeszły pierwsze wieści o gotujących się w sprawie Izraela uchwałach sejmowych, o zniesieniu szkodliwej między żydami, a miejscową ludnością różnicy i przegrody, walka nieunikniona Nuchima z Herszem zapowiedziała się w następujący sposób:

Stał Ezełowicz na progu domu modlitwy, a Todros przed chatą swoją pobliską, i obaj wołali do ludu, który naprzemian słuchał ich z ciekawością i skupieniem.

Więc głos Nuchima: „Rozkażę nam brody golić i krótkie suknie nosić".

A na to odpowiedź Hersza: „Rozum nam uczynią dłuższym i serce w piersiach rozszerzą".

I znowu Nuchim: „Zaprzęgą nas do pługów i każą nam uprawiać krainę wygnania".

A Hersz: „Otworzą przed nami skarby ziemi i rozkażą jej, aby ojczyzną nam była".

Nuchim: „Twarze synów naszych brodami porosną, zanim wolno im będzie żony pojąć sobie".

Hersz: „Kiedy pojmią oni swe żony, rozum w ich głowach i siła w ich rękach będą już wyrosłe".

Nuchim: „Rozkażę nam grzać się przy obcych płomieniach i pić z Sodomskiej winnicy".

www.libtool.com.cn

Hersz: „Przybliżą do nas święto radości, w którym ja-
gnię bezpiecznie spoczywać będzie obok tygrysa“.

— „Herszu Ezełowiczul! Herszu Ezełowiczul! przez usta
twoje mówi dusza pradziada twego, który wszystkich Żydów
zaprowadzić chciał do cudzych płomieni“.

— „Reb Nochim! Reb Nochim! przez oczy twoje patrzy
dusza twego pradziada, który wszystkich żydów zatopił
w wielkich ciemnościach“.

Niebawem po tej rozmowie Hersz Ezełowicz przystąpił
do działania.

Najpierwszą jego troską było odnalezienie cennej wro-
dzie spuścizny, testamentu pradziadka Seniora. Wiedziano,
że pradziadek taki testament, w którym myśli jego najdroż-
sze zamknięte, na krótki czas przed śmiercią uczynił. Gdzie
zaś go ukrył, nie wiedziano. Hersz z młodą żoną Frejdą
rozpoczęli w domu swoim rodzinnym poszukiwania. Powio-
dło im się, ukryty skarb znaleźli. Z dokumentem tak cen-
nym, wybrał się Hersz w daleką drogę, jechał aż w głąbie
czarnych borów i bagnistych równin Pińszczyzny, kędy
mieszkał myśliciel i poseł sejmowy Mateusz Butrymowicz.
A przyjechawszy, rozumny Hersz tak mówi: „Przybyłem
tu zdaleka. A po co ja tu przybyłem? Po to, żeby zoba-
czyć wielkiego posła i pogadać z wielkim autorem, od które-
go słów spadł na oczy moje blask taki jasny, jak od pro-
mieni słońca. Blask ten jest bardzo wielki, ale mnie nie
oslepił, bo jak roślina ziemna okręca się koło gałęzi
wysokiego dębu, tak ja chcę, żeby myśl moja okręcała się
około twojej wielkiej myśli i żeby one obie rozpostarły się
nad ludźmi jako tęcza, po której nie będzie już kłótni, ani
ciemności“.

Kiedy na tę przemowę poseł odpowiedział uprzejmie
i zachęcająco, Hersz ciągnął dalej:

„Jasny pan to powiedział, że trzeba zrobić wieczną zgo-
dę pomiędzy dwoma narodami, które na jednej ziemi toczą
ze sobą wojnę“?

„Powiedziałem“—potwierdził poseł.

www.libtool.com.cn

„Jasny pan to powiedział, że Żyd, porównany z Chrześcijanem we wszystkim, nigdy szkodliwym nie będzie?”

„Powiedziałem”.

„Jasny pan to powiedział, że Żydów ma za obywateli polskich i że trzeba, aby oni dzieci swoje do świeckich szkół posyłał i żeby mieli prawo ziemię kupować i żeby między nimi były skasowane różne rzeczy, które ani dobre są, ani rozumne”.

„Powiedziałem”.

Wtedy wysoki, okazałej postaci Żyd z dumnym czołem i rozumnym spojrzeniem, pochylił się szybko i, zanim poseł miał czas obejrzeć się i obronić, rękę jego do ust przycisnął. „Ja tu przybysz, rzekł z cicha, gość w tym kraju, młodszy brat”.

A potem sięgnąwszy do kieszeni: „Oto co ja tu przywiozłem. To droższe dla mnie nad wszystko złoto, perły i dżamenty”.

„Cóż to jest?”—zapytał poseł.

Hersz uroczystym tonem odpowiedział:

„Testament przodka mego, Seniora Michała Ezełowicza”.

Nad czytaniem owego testamentu społem całą noc przesiadzieli.

Nazajutrz podążyli wspólną kolasą do Warszawy. Przez ciąg kilku miesięcy krzątał się Hersz Ezełowicz, jeździł po kraju. W okolicach Szybowa niezmordowanie jednał stronników dla mających nastąpić zmian doniosłych, namawiał, tłumaczył, przekonywał.

Ale przyszedł dzień, w którym z podróży do Warszawy powrócił nie z rozjaśnionym jak zwykle czołem, ale smutny, złamany.

Stroskanej żonie powiedział: „Przepadło! Kiedy budowa jaka rozpada się w kawałki, tym, którzy w niej mieszkają, belki padają na głowy i pył zasypuje oczy”.

„Prawda”—potwierdziła kobieta.

A Hersz znowu: „Jedna wielka budowa rozpadła się...”

www.libtool.com.cn

Bełki pospadały na wszystkie wielkie zadania i wielkie prace nasze, a proch przysypał je... na długo!..

Pójdź, Frejdo, trzeba schować testament Seniora. Schowamy go bardzo głęboko; może go jaki prawnuk nasz szukać będzie i znajdzie"...

Ową wspaniałą budową walącą się właśnie w gruzy była, jak domyślić się łatwo, Rzeczpospolita. Nieszczęście nie pozwoliło jej doprowadzić do końca dzieła naprawy. W chwili odrodzenia się narodu rozerwali kraj nieumocniony jeszcze—sąsiedzi.

Przeszło lat wiele, wiele. W domu Ezefowiczów był panem, głową rodziny syn Herszów stary Saul. Około niego dużo synów, synowych, córek i wnuków. I żyła jeszcze poważana przez wszystkich jako świętość stuletnia prababka, Herszowa ongi żona, Frejda.

Ze starości niemal zawsze drzemiąca, daleka wszystkiemu, co się obecnie dzieje, posiada ona już tylko jedno wyraźne uczucie, a tym jest miłość do najmłodszego z prawnuków, Meira, w którym widzi podobieństwo wielkie do męża swego Hersza w szczęśliwych dla obojga, odległych dniach młodości.

Meir istotnie podobnym jest do pradziada; ma w pierśsiach taką jak tamten duszę łaknącą światła, dobra, sprawiedliwości.

A otaczają go jak tamtego: ciemnota, zatwardziałość, głupie, a uciążliwe przesady, głęboka ciał i serc wielu nędza.

Powieść przedstawia nam niedłgie, bolesne dzieje tego młodzieńca, szereg usiłowań i tęsknot do dobrego, walkę ze złem, nienawiścią, ciemnością. Podobnie jak przodkowie, o których słyszał, pragnie Meir wyprowadzić lud swój do światła. Pożąda tego płomieniami wszystkimi młodej duszy.

Przekonania Meira podziela gromadka młodzieży mniej od niego odważnej, chociaż jednako stęsknionej do lepszego życia.

Przeciwnikiem i nieprzyjacielem jest znowu członek rodu Todrosów, Reb Izaak, rabin w Szybowie.

Pomiędzy Meirem a Izaakiem, ludźmi stojącymi na dwu

www.libtool.com.cn

krańcach, znajduje się, jak zawsze w takich wypadkach, tłum obojętnych albo niepewnych, gotowych przechylić się na tę albo ową stronę.

Meir walczy szczerością i uczciwością, a zaś rabin i drugi nieprzyjaciół, mełamed czyli nauczyciel, Mosze, wzniecają przeciwko niemu różne podejścia, oszustwa, złość i przesady głupie. Nie cofają się nawet przed zbrodnią.

Meir z ogromną tęsknotą pragnie odnalezienia ukrytego ponownie przez Hersza testamentu Seniora. Kochająca go, sędziwa prababka, posiadaczka tajemnicy, wskazuje miejsce. Meir uszczęśliwiony czyta cenne pismo ludowi w nadziei, iż go czcigodnym zza grobu głosem przekona i opanuje, owdniętych zaś po drodze do światła i dobra poprowadzi.

Pięknym jest testament Seniora, tak jak go nam Orzeszkowa podaje. W myślach, słowach i zdań ułożeniu odczuwa się wstrząśnięte głęboko serce autorki, która sama również gorzką, ostateczną boleść poznała, i wie, i pamięta. W taki sposób nie przedstawiłby tego nikt z angielskiego, francuzkiego, niemieckiego albo jeszcze innego narodu.

Słowa testamentu brzmiały:

„Biada ludowi, któremu zabraknie ojczyzny! „I zejda z okrętów wszyscy robiący wiosłem i wszyscy pływający po morzu—i przylgną do ziemi“. Dusza narodu wszelkiego łączy się z ziemią swoją, jak dziecko z piersią matki i od niej bierze pokarm swój, i zdrowie swoje i lekarstwa na swoje choroby.

Tak chciał i tak uczynił Bóg!

Ale ludzie poszli przeciw woli Jego; duszę twoją, Izraelu! oderwali od ziemi, do której ona przylgnęła. Jako że-brak, pukaleś ty do wrót cudzych i tych, którzy plwali na cię, o zmiłowanie prosić musiałeś.

Głowa twoja chyliła się pod rozkazami praw, przeciw którym krzyczała w tobie ze wstrętu natura twoja. Język twój łamał się, żeby naśladować mowy cudze; podniebienie twoje gorzkniało od goryczy, które piłeś; oblicze twe czerniało od upokorzeń i gniewu...

Aż w zdręczeniach i nędzach srogich opadła z ciebie

stara wspaniałość twoja i rozmnożyły się jako gwiazdy grzechy i nieprawości twoje, a Jehowa, Bóg twój, patrząc na ciebie, zapytał z gniewem: „Jest że ten sam lud mój wybrany, którego zaręczyłem z sobą w prawdzie i łasce?”

Taki jest wstęp testamentu i zaiste moc w nim, a ból równy mocy.

W dalszych słowach przechodził Senior do zarzutów ludowi, który obecnie: „Zakon widzi tylko w ofiarach i kadziłach, a nie we wstępowaniu na tę wielką drabinę, którą Pan objawił we śnie słudze swemu Jakóbowi, aby po wszystkie czasy wiedzieli ludzie o tym, jak wstępować trzeba do Boga, który jest poznaniem i doskonałością”.

I jeszcze dalej pisał Senior: „Szumiały w głowie mojej myśli, których język mój wypowiadać już nie miał komu, bo opuścili mnie wszyscy dawni przyjaciele i uczniowie moi. W piersi mej palił się płomień, przy którym grzać się nikt nie chciał. — Członki moje rozpadały się od niemocy, sen śmierci ogarniać mię zaczął, a z ust moich wychodziły krzyki: Panie świata! nie opuszczaj posłańca swego! Daj mu głos taki silny, ażeby przemówić mógł do tych, którzy nie urodzili się jeszcze, bo ci, którzy żyją, słuchać mnie już nie chcą”.

I czegoż to żądał Senior od potomków swych, żydów w Polsce?

Oto znamienne wyrazy jego: „Jeżeli kraj ten, z którego studni pijesz wodę i z którego roli spożywasz chleb, przyjął cię, nie jako bydłę robocze, ażeby mu ziemię orało, ale jako brata zmęczonego, ażeby na piersi jego odpoczął, jakąż ty mu nagrodę dasz, Izraelu?”

I mówi o wspólnych z narodem polskim obowiązkach dla tej Rzeczypospolitej, która była domem gościnnym pełnym chleba.

„Puściliśmy taką odezwę, że rozumami i sercami Izraelitów zatrzęść mogła, jak trzęsie ogrodnik drzewem, aby z niego dojrzałe owoce spadły.

Powiedzieliśmy w odezwie naszej do wszystkich braci

naszych: Bądźcie pożyteczniemi ziemi tej, na której mieszka-
cie, a będą was szanowali“.

„Kto jest sługą ziemi swojej, ten naje się chleba dosyta!
Ale jakże dosyta nakarmi was ziemia ta, jeżeli wy z nią
obchodzić się będziecie nie jak wierne i pracowite sługi, ale
jak przechodnie o dzisiejszy dzień dbający?“

A jeszcze dalej woła głos testamentu:

„Znikną grzechy z powierzchni ziemi. I grzeszników
już nie będzie.

A kiedy znikną grzechy i przed wami otworzą się
bramy mądrości, wchodźcie w nie prędkim krokiem i z we-
sołym sercem, bo nauka jest największym orężem Pana,
który rządzi światem według wiecznych praw rozumu“.

Meir, czytając, wierzył, iż lud nawróci, ale, niestety,
słuchacze nie zrozumieli piękności i prawdy testamentu Se-
niora. Owszem, za poduszczeniem małamedy Moszego, rzu-
cili się na Meira jako na grzesznika, odstępcę od Zakonu i t. d.

Młodzieniec zaledwo uszedł ze zdrowiem. Nazajutrz
zebrał się sąd kahalny, przewodniczył mu rabin Todros i wy-
rokiem onego sądu rzuconą jest na Meira klątwa...

Odepchnięty od swoich, których miłował, unosząc na
piersiach cenne pisanie przodka, poszedł Meir samotnie w sze-
roki świat, aby szukać wiedzy, i aby pracować nad wypeł-
nieniem pragnień swoich co do Izraela, a kiedyś w lepszej
chwili—powrócić.

Okrom tej książki pisała Orzeszkowa o żydach i ich
stosunku do polskiego narodu jeszcze nieraz w utworach
krótkich, a także w innej długiej powieści p. t. „Eli Mako-
wer“. W tym ostatnim dziele obok zajęcia się żydami znów
silnie poruszona jest ta sama, co w „Rodzinie Brochwiczów“
najboleśniejsza sprawa wypuszczania z rąk polskich ziemi,
która do nich nie mogła powrócić.

Czas płynął, przynosił coraz nowe zagadnienia, wyka-
zywał zmiany stosunków społecznych; Orzeszkowa wszyst-
kiemu przyglądała się wytężoną myślą.

Gdy z powodu coraz to trudniejszej walki o kawałek chleba, kobiety ze sfer dawniej zamożnych już nie mogły li tylko oglądać się na ojców i mężów, ale musiały samodzielnie pracować i zarobkować, Orzeszkowa napisała opowieść p. t. „Marta”. Wystawia tu ciężkie koleje młodej kobiety, którą potrzeba zmusza do zarobkowania, a ona nie umie, bowiem nie nauczono jej tego w niedołężnym wychowaniu. Powieść ta swego czasu wywarła w społeczeństwie wielkie wrażenie, przynagliła niejedną rodzinę do rozumniejszego kształcenia córek.

Każdy pisarz posiada w szeregu dzieł przez siebie stworzonych jedno jakgdyby osobliwie, swoje, takie dzieło, w którym najmocniej i zarazem najpiękniej wystąpiły wszystkie właściwości autora, jego sposób rozumienia i odczuwania świata. W twórczości Orzeszkowej takim szczytowym dziełem jest powieść: „Nad Niemnem”.

Przyjrzyjmy się mu bliżej.

„Dzień był letni, świąteczny. Wszystko na świecie kwitło, jaśniało, śpiewało. Ciepło i radość lały się z błękitnego nieba i złotego słońca; radość i upojenie tryskały z nad pól porośłych zielonym zbożem; radość i złota swoboda śpiewały chórem ptaków i owadów nad równiną w gorącym powietrzu, nad niewielkimi wzgórzami w okrywających je bukietach iglastych i liściastych drzew.

Z jednej strony widnokregu wznosiły się niewielkie wzgórza z ciemniejącymi na nich borkami i gajami; z drugiej wysoki brzeg Niemna, piaszczystą ścianą wyrastający z zieloności ziemi, a koroną ciemnego boru oderżnięty od błękitnego nieba, ogromnym półkolem obejmował równinę rozległą i gładką, z której gdzie-niegdzie tylko wyrastały dzikie, pękate grusze, stare, krzywe wierzby i samotne, słupiate topole.

Na świetnym tym tle, w zmieszanych zdala zarysach, rozpoznać można było dwór obszerny i w niewielkiej od niego odległości na jednej z nim linii rozciągnięty, szereg kilkudziesięciu małych dworców.

Nad niektórymi dachami w powietrzu czystym i spokoj-

nym, wzbijały się proste i trochę tylko skłębione nici dymów; niektóre okna świeciły od słońca jak wielkie iskry; kilka strzech nowych mieszało złocistość słomy z błękitem nieba i zielonością drzew.

Równinę przerzynały drogi białe i trochę zieleniejące od porastającej je zrzadka trawy; ku nim niby strumienie ku rzekom przybiegały z pól miedze, całe błękitne od bławatków, żółte od kamioły, różowe od dzięcieliny i smółek.

W takiej to miejscowości rozegrywać się będą wypadki, o których mówi opowieść.

Krajobraz przedstawiony jest, jak widzimy, pięknie, malowniczo, tak że czytając, zda się, istotnie patrzymy nań oczyma.

Dwór, któryśmy dostrzegli w oddali, należy do p. Benedykta Korczyńskiego, średnio zamożnego człowieka. Małe dworki składają się na osadę szlachty zagonowej, na jeden z tak zwanych szlacheckich „zaścianków“, gęsto napotykanym w niektórych okolicach Litwy. Wszyscy mieszkańcy osady, o której mowa, nosili społem jedno nazwisko Bohatyrowiczów i mieli o początku swoim następujące podanie:

„W starych czasach, w sto lat, albo i mniej potym, jak litewski naród przyjął świętą, chrześcijańską wiarę, przysła w te strony nadniemeńskie para ludzi. Niewiadomego byli nazwiska, niewiadomej kondycji i tylko to można było poznać z mówienia ich i z ubioru, że przyszli z Polski. Z jakiej przyczyny aż tu przywędrowali? zarówno niewiadomym było. Kiedy spotykający ich ludzie pytali ich o nazwiska, odpowiadali, że przy chrzcie świętym, nadano im imiona: „Jan“ i „Cecylja“. A kiedy ktokolwiek chciał wiedzieć, dokąd wędrują, mówili: „Szukamy puszczy“. Widać było, że bali się jakiegoś pościgu i żądali skryć się przed ludźmi, a żyć tylko pod Bożym okiem.

Cały tutejszy kraj zalegała po ten czas nieprzebyta puszcza; tylko Pan Bóg nasiał co niemiara jezior błękitnych i łąk zielonych, a ludzie pobudowali troszkę osad, w których trudnili się różną przemyślnością.

Jan i Cecylja, schodziwszy puszcze, wkońcu znaleźli

miejsce dogodne sobie na wysokim nadniemeńskim brzegu. „Podtenczas stał tam dąb taki wielki, co może i tysiąc lat miał wieku, bo w jego wydrążeniu bawoła ukryćby można. I pod tym dębem Jan i Cecylja zbudowali sobie chatę bez pieca i komina, bo odrazu inszej zbudować nie mogli“.

I tak poczęli mieszkać. Cecylja „po anielsku śpiewała i grała na harfie, a jak pierwsza matka ludzkiego rodu, miała włosy złociste i takie długie, że pokryć niemi mogła siebie i swoją harfę“. Kochali się bardzo, ale „pomimo kochania i wszelkich jego rozkoszy, nachodziły ich takie potrzeby i strachy, że innym ludziom pomyśleć byłoby trudno.

Po puszczy chodziły stada zubrów, turów, niedźwiedzi, dzików i wilków, w gałęziach czaiły się drapieżne jastrzębie i krogulce.

Nocami wyły puszczyki, a po drzewach wieszały się rysie. I rzeka nie była taka jak teraz, głębinę i prędkość miała ogromniejszą...

Jak oni to wszystko znieśli i przemogli? Bogu świętemu wiadomo; dość że znieśli i przemogli... Może dwadzieścia років minęło im w tej męce, kroplami rozkoszy słodzonej, aż po puszczy puściły się pogłosy o tej parze ludzi, że przemyślnością swoją i krwawą pracą kawał duży lasu wyplenili, zboża nasieli, że dom sobie zbudowali widny i czysty... Poszli tedy do nich ludzie z różnych dalszych osad dowiedzieć się: jak też tam czyniły się takie cuda.

Niektórzy prosili, aby już ostać się przy nich dla wspólności i pomocy. Ale Jan i Cecylja wprędce doczekali się rodzonych pomocników. Sześciu synów i sześć córek urodziło się im i wyhodowało nad brzegiem tej wody, w cieniściach tej puszczy, pod okiem jednego Boga“.

Rychło pożeniły się te dzieci i powychodziły za mąż. „Zkąd synowie pojmowali żony, ztamtąd przybywali mężowie dla córek i, poślubiwszy je, nie odjeżdżali nigdzie, tylko tu sobie budowali chaty i tnąc las coraz dalej, uprawiali pola. Tak przeminęło lat 80 albo może więcej od tego dnia, kiedy Jan i Cecylja pierwszy raz na tej ziemi nogi postawili... Aż jednego razu znaleźli się tacy ludzie, którzy sa-

memu królowi doniesli, jakie to dziwy dzieją się gdzieś, w kraju litewskim, w najgęstszej puszczy, nad samym brzegiem Niemna. Panował podówczas król dwoma imionami Zygmunt i August nazwany. Zapalczywy był myśliwiec i właśnie w tej porze, kiedy mu to doniesienie zrobiono, bawił się polowaniem w swoich knyszyńskich lasach. Że od Knyszyna do tamtego miejsca w nadniemeńskiej puszczy było niezbyt daleko, wybrał się król obaczyć.

Przyjechał z orszakiem i zadziwił się wielce: „Tam, kędy dawniej panowała dzicz drzewiasta, bezludna i głucha, leżała wielka równina, żółtością ścierniska po zżętem zbożu okryta. Na ściernisku by wysokie domy stały sterty wszelkiego zboża; sto par wołów orało pod przyszły zasiewek, na gładkich łąkach hasały stada obłaskawionych koni, pasły się trzody krów ryżych i białych owiec. Lipowe gaje rozlegały się od brzęczenia nieprzeliczonych rojów pszczelnych. Sto domów przedzielonych ogrodami sznurem wyciągało się wpodłuż rzeki, a z ich kominów by z kościelnych kadzielnic sto złotych dymów podnosiło się prosto do nieba“.

Król jechał, oglądając wszystko wesoło, a „łowczowie złote trąby wciąż do ust przykładali i rozgłośnym graniem rozgłaszali królewskie przybycie szerokiej równinie, długiemu Niemnu i aż zaniemeńskim głębokościom boru“. I wylegli na dźwięk uroczysty wszyscy mieszkańcy osady, a król ich zapytuje: „Czy żywie jeszcze rodziciel was wszystkich?“ „Żywie i w zdrowiu przebywa“—odpowiedział najstarszy syn Jana i Cecylji, sam już zmarszczkami poorany i siwy jak gołąb. „A rodzicielka czy żywie?“ „Żywie i w zdrowiu przebywa“.

Z najpiękniejszego domu synowie i córki, wnuki i prawnuki wyprowadzili parę rodziców. Więcej niżli stuletnie starce szli sami przez się, bez niczyjej pomocy, jedno przy drugim. A król, kołpak swój zdjawszy z głowy, powiał nim przed starcami tak nisko, że aż z brylantowego pióra sygnęły się gwiazdy. I zapytał ich król o nazwisko, a gdy starzec Jan wyjawic nie chciał, mówiąc, że powie dopiero na sądzie Bogu, wygłosił Zygmunt August taką wolę swoją:

„Ty, starcze, według własnego żądania bezimiennym ostanieś i jakże się urodził, tak w grobie legniesz pospolitakiem. Ale żeś był bohaterem mężnym, który tę oto ziemię dzikiej puszczy i srogim zwierzętom odebrał, zawojowawszy ją nie mieczem i krwią, ale pracą i potem, żeś piersi jej dla mnogiego ludu otworzył, ojczyźnie przymnażając bogactwa, przeto dzieciom twoim, wnukom i prawnukom aż do najdalejszego pokolenia nadaję nazwisko od bohaterstwa twego wywiedzione“. I rozkazał im zwać się odtąd Bohatyrowiczami, a na pieczęć dał im klejnot Pomian, wystawiający głowę zubra na złotym polu, „jako rodziciel wasz pokonał zubra i z odwiecznego jego siedliska uczynił to wdzięczne i obfitością ciekące pole“.

Tyle słów podania. Jako pamiątka po owych przodkach odległych, stał jeszcze pomimo lat zniszczenia grobowiec z dużym krzyżem. Znajdował się nie w samej osadzie Bohatyrowiczów, ale opodal na brzegu Niemna w lesie. Na krzyżu widniał napis: „Jan i Cecylja. Rok 1549. Memento mori“.

Potomkowie, właściciele maleńkich dworców i szczupłych gruntów, wiedli życie znojne, do chłopskiego bytu najzupełniej podobne, własnymi rękami uprawiając ziemię. W przeszłości miewali może lepsze czasy, ale obecnie ciężko było.

Pomiędzy Korczyńskim dworem, a Bohatyrowiczów zaściankiem oddawna i z konieczności bywały sąsiedzkie stosunki,—a nawet pamiętano okres, w którym owo sąsiedztwo braterstwem stało się i miłością. Działo się tak około 1863 roku.

Korczyńskich było podówczas trzech braci: Andrzej, Dominik i najmłodszy Benedykt. Młodzi, zdolni, pełni rzeźwości i wesela, żyli z sobą zawsze w przyjaźni i zgodzie, a „teraz do życia ich wpłynął pierwiastek, który z nich uczynił niby trzy strzały równym pędem ku jednemu celowi lecące“.

Gdy Orzeszkowa wspomina o chwilach powstania 1863, czyni to z musu oględnie, wpółwyraźnie. A jednak pomimo zdań urywanych, skróconych, czuć, że to pisał ktoś pa-

miętający te rzeczy nie ze słuchu, ale z własnych najgłębszych wspomnień, świadek, który widział, przeboleł całą duszą.

Więc oto dalej o braciach Korczyńskich:

„We wszystkich trzech ozwała się krew dziada, żołnierza z pod Somosierry; to zaś, co w pokoleniu najbliższym zadrzemało było i tylko przez sen niekiedy płakało, uderzone dzwonem czasu krzyknęło i na skrzydłach fantazji wleciało w wysoko gorejące płomie. Hej! gorączką i burzą przeleciały im te dwa lata!

Stojące wody społeczne zaszumiały, wzdęły się, wyrzucały w górę kipiące kaskady; w martwej atmosferze wichry zaśpiewały, roznosząc po ziemi złote tumany, a na niebie malując jutrzeńki tęcze. Duch demokratyzmu równającym pługiem orał glebę społeczną. Wyżyny skruczą zdjęte pochylały się ku nizinom, gotowe do wynagrodzenia krzywd, zebrzące prawie o życzliwość i ufność“. Dom Korczyński naówczas otworzył się przed mieszkańcami sąsiednich Bohatyrowicz. „Hej! było tam wtedy, było, ruchu i tłumy w tym niskim, obszernym domu! rozlegały się tam gwary i krzyki, płynąc w dal, po falach tej rzeki... Brzmiały tam i huczały w głębiach tego boru i na rozłogach tej gładkiej równiny takie stuki i hałasy, jakich ani razu słyszeć nie było oddawna, od owego czasu, w którym powstały gęsto w pobliżu Niemna rozsiane okopy szwedzkie... Najgorętszym z braci był najstarszy Andrzej. Mężem i ojcem już będąc, zapomniał o żonie, dziecku i gospodarstwie“...

W Korczynie przebywała wtedy krewna owych trzech braci Marta, młoda, pełna wesołości, zapału, życia. Ta, krzątając się około gospodarstwa, którym rządziła, i mnóstwu codziennych gości usługując, zawsze w ich gronie wyróżniała Anzelma Bohatyrowicza, przystojnego chłopca w grubym obuwu i surducie z domowego sukna. „Brat Anzelma Jerzy znowu przyjaźnią bardzo szczególną połączył się z najstarszym Korczyńskim. Odkąd poznali się z sobą, to jest, odkąd bracia Korczyńscy, w niskich drzwiach pochylając wysokie swoje postacie, po raz pierwszy weszli do chaty braci Bo-



hatorywiczów, Andrzeja i Jerzego zawsze prawie widywano razem“.

Aż przyszła taka chwila, że razem pojechali—na wojnę. Jan Bohatyrowicz, syn Jerzego, tak o tem opowiadał w wiele lat później, przywodząc sobie do myśli wczesnego dzieciństwa wspomnienia.

Znajdował się z matką i kilkorgiem innych osób na pagórku, z kąd widok na piaszczyste przyrzeczne rozłogi i na Niemen: „Patrzyliśmy na rzekę, którą przepływały czółna i łodzie, z jednej strony i z drugiej ludzi przywożąc. Od brzegu do brzegu zaś szedł i powracał promek na łodziach nieduży. Wszyscy przez te piaski przeszli, przejechali i już ich widać nie było.

Wieczór zrobił się majowy. Cichość panowała na rzece, na brzegach tylko w borze słowik śpiewał. Wtenczas ojciec pocałował matkę, coś jej poszeptał, a potem mnie z ziemi na rękach podniósł i całować zaczął... W tej samej minucie pan Andrzej Korczyński zegnał się ze swoją żoną i swoim synkiem... Stała też tam panna Marta, która w tę porę młodą jeszcze była i kiedy stryja Anzelma zegnała, medalik na szyję mu powiesiła... Dwa konie osiodłane i pod pagórkiem stojące z niecierpliwości parskwały“. A potem „księżyc wprost nad piaskami świecił, a w jego światłości ojciec i pan Andrzej jeden przy drugim na koniach równej piękności jechali... Nie obejrzawszy się ani razu, piaski na ukos przejechali i z oczu naszych znikli“.. Udali się do oddziału powstańców.

I nigdy już ojca swego nie oglądał Jan Bohatyrowicz. Raz o nim słyszał. Tak opowiada. „Było po świętym Janie, a może i około świętej Anny, bo zboże już na polu prawie dojrzewało. Staliśmy w okolicy (to znaczy, w zaścianku) nad samym brzegiem rzeki, gdzie na podwórku naszym jłipy rosły. Niedużo nas było, może osób kilka, bo inni ludzie na swoich podwórkach zgromadzali się i tak samo kupkami stojąc, wszyscy ku stronie piasków obróceni, stuków i grzmotów słuchali, co tam toczyły się i turkotały,

to dłużej to krócej, to prędko, to pomalutku"... Oczywiście bitwa to była...

O końcu jej tak mówi młody Bohatyrowicz: „Dopiero przed samym wieczorem grzmoty zaczęły pomału ustawać, aż i zupełnie ustały. a po całym borze podniosły się wielkie ludzkie krzyki i zgiełki.. Potym i krzyki zamilkły. Noc nastąpiła... Pomimo nocy ludzie wciąż kupkami na swoich podwórkach stali i siedzieli, ku piaskom patrząc. W ciemności nocnej rozeszły się szeptu ludzkie, szumienie wiatru naśladujące... Posłyszeliśmy na przeciwnym brzegu rzeki wielkie pluśnięcie, a potym już ciche, ale ciągle jednostajne pluśkanie. Ktoś do wody skoczył, płynął, rzekę przepłynął... Widać było cień jakiś wstępujący pod górę to prędko, to pomału, aż ostatni raz skoczył i wprost przed nami stanął. Matka krzyknęła: Anzelm! i zakręciła się na miejscu jak nieprzytomna.

Jezu drogił jak stryj wyglądał! Twarz miał czarną jak u murzyna i tylko oczami wilczymi błyszczącą, odzież calutka w dziurach, rękę jedną opuszczoną i bezwładną, a z włosów i odzienia woda mu potokami ciekła.

Dyszał tak, że słowa wymówić nie mógł i tylko kiedy niekiedy stękał, jakby w nim co pękało“.

Anzelm Bohatyrowicz, raniony w bitwie, wysiłkiem woli dostał się do domu, aby przynieść wiadomość o śmierci brata swego Jerzego i Korczyńskiego Andrzeja. Zginęli na polu walki. Pogrzebieni we wspólnej z trzydziestu kilku innymi żołnierskiej mogile w borze za Niemnem, pod czarnym cieniem jodeł.

Drugi z Korczyńskich braci, Dominik, dostał się do więzienia, a potym zesłany w głąb Rosji. Najmłodszy Benedykt ostał w rodzinnym Korczynie.

Mijały lata. Ciągnął się ten okropny okres powstaniowy, kiedy pod ciężarem marności, zapominali o wszystkim, co dobre, psuli się ludzie. Benedykt Korczyński jeszcze przez czas uiejaki opierał się temu zabójczemu wpływowi, dobywał z siebie sił i dawnych pragnień. Ale cóż? gdy począł pracować nad oświatą okolicznego ludu, dążąc do te-

www.libtool.com.cn

go, by ci jego sąsiedzi nauczyli się czytać, omijali karczmy, zakładali przy chatach owocowe sady, wnet z owej pracy uczyniono mu ciężką winę; groziła mu znaczna kara, od której zaledwo wielkimi staraniami i wielkim kosztem wybawić się zdołał.

Jeszcze parę razy usiłował Korczyński rozpocząć jakie pożyteczne dla społeczeństwa działanie, zawsze z równym wynikiem; nie wolno było i tyle!

A więc nakoniec zaniechał wszystkiego, pochylił karku. Zajął się już tylko osobistymi sprawami, doglądaniem gospodarki, która w zmienionych warunkach przyczyniała mnóstwo troski i kłopotów.

Z trudem i wysileniem utrzymywał w posiadaniu ten kawałek rodzonej ziemi, aby przynajmniej chociaż to ostało.

Zmienił się, zestarzał, zgorzkniał na sercu i myśli. W ciągłym wysiłku około gospodarstwa, latając wciąż nowe dziury, wchodził w zatargi z sąsiadami, którzy urywali mu częstokroć to albo owo.

Owi sąsiedzi to mieszkańcy Bohatyrowicz. Oddawna popsuły się ich stosunki życzliwe z korczyńskim dworem, oddawna zapomniano o czasach pana Andrzeja. Mnożyły się kłótnie, z obu stron wyrządzano sobie przykrości, włożono po sądach sprawy.

Benedyktowi Korczyńskiemu z początku przy tych zatargach, jak sam powiadał, płakało coś w środku, ale następnie na wszystko machnął ręką.

Obco więc, nawet wrogo względem siebie usposobieni byli Korczyn i Bohatyrowicze. W Korczynie oprócz Benedykta przebywa jego żona, schorowana, a jeszcze dużo bardziej kapryśna i samolubna kobieta.

Ona to w znacznej części ponosi winę, że mąż tak bardzo dawnych uczuć poniechał. Nie była mu nigdy towarzyszką pracy i przyjacielem w działaniu dla społeczeństwa.

Gospodarkę kobiecą wobec niezdarności żony prowadzi krewna Marta, owa niegdyś młoda, hoża, zapalna, która idącemu do powstania Anzelmowi medalik swój powiesiła na szyi. Dziś zgorzkniała, jak i Benedykt. Za Anzelma pomimo rze-

telnej ku niemu miłości, nie wyszła, obawiała się pracy w jego zagrodzie. Zestarzała. Pracę ma może równie ciężką, chociaż w szlacheckim dworze, a nie posiada ani domu własnego, ani zadowolenia, ni szczęścia.

Jeszcze dużo innych postaci przewija się w Korczynie, a Orzeszkowa każdą z nich wystawia doskonale, ze wszystkimi właściwościami, że się wydaje jak żywa.

W pokoju panny Marty przemieszkuje i czasem w zajęciach jej dopomaga druga krewna gospodarza, ale młoda, piękna dziewczyna, Justyna Orzelska. Wychowanka to jest Korczyńskich. Dano jej, jak to często w szlacheckich domach bywało, wykształcenie jakieś połowiczne, że ani przypiąć, ni przylatać. Troszkę tego, owego umie, nie bardzo dobrze, a przedewszystkim nic takiego, coby jej pozwoliło życie właściwie cenić i na chleb dla siebie, a pożytek dla społeczeństwa pracować.

Justyna jednakże nie jest dziewczyną bezmyślną, albo bierną.

Posiada słuszną, uczciwą dumę i dlatego pozostawanie na łasce krewnych sprawia jej ból dotkliwy. Posiada także gorące pragnienie stać się pożyteczną, usłużyć w czymkolwiek ludziom, społeczeństwu swojemu.

Zachodzi przyjazny wypadek, a mianowicie zdarza się, iż Justyna zawiązuje znajomość z mieszkańcami Bohatyrowicz.

Ścieżki pomiędzy Korczynem i ową wsią sąsiedzką zdają się oddawna trawą porośłe, a oto ktoś niemi chadzać poczyną. Pan Benedykt nie domyśla się nawet, że oprócz Justyny chadza jego własny syn, ukochany jedynak. Ten syn, dwudziestoletni Witold przyjechał na wakacje, do domu z wyższej szkoły rolniczej. Jest to chłopak noszący w piersiach to wszystko, co ongi nosili stryj i ojciec, a za co stryj dał życie. Gorąca, szlachetna natura, serce pragnące kochać i ukochanemu społeczeństwu służyć.

Witold często odwiedza dworki we wsi, a mieszkańcy jej Bohatyrowicze lubią go szczerze pomimo zatargów z panem Benedyktem.

Między ojcem i synem istnieje wielkie przywiązanie wzajemne, ale tym nie mniej coś się w ich zgodzie psuć poczyna.

Witolda boli to, że ojciec teraz taki z ludźmi twardy i zda się nieużyty, że ojciec taki już obojętny dla spraw, które ongi kochał. A ojciec znowu cierpi z powodu sądu syna, gniewa się, że go ten syn nie rozumie, że przed nim swojej od tak dawna zamkniętej duszy otworzyć nie może.

Czytamy tę powieść; przesuwają się przed oczyma naszymi drobne codzienne zdarzenia i ludzie wśród codziennych zajęć, a wszystko oddane tak zajmująco i wybornie, że czytelnik naprawdę jakby postacie widział i głosy słyszał i czuł wonie pól, a ogrodów, bowiem jest lato.

Oto na przykład obrazek: „W porze żniw na tej rozległej równinie ziemia wydawała się złotym fundamentem, dźwięcącym błękitną kopułą i okrytym ruchliwym mrowiem drobnych istot. Właściwa barwa ziemi ukazywała się tu i ówdzie na drogach porośniętych rzadką trawą i na wcześnie zoranych małych szmatach pola. Zresztą wszędzie, od wzgórz obrosłych drzewami do wysokiej ściany nadniemeńskiej, dojrziałe zboża płonęły gorąco—złotym ścierniskiem“.

Mieszkańcy Bohatyrowicz wylegli wszyscy do żniwa, jedni z sierpami, drudzy do zwożenia powiązanych już snopów. Starego Anzelma nie było, bo od wielu lat, właściwie od klęski 1863 roku, chorował prawie ciągle, jeszcze bardziej na nieuleczalny smutek duszy, niżeli na słabość ciała. Przesiadywał też doma w zagrodzie. Ale był w polu, na wozie w dwa dzielne zaprzężone konie, synowiec Jan, pozostały sierotą po poległym Jerzym. Tego Anzelm jakby najlepszy ojciec wychował.

Oprócz tych dwu—Anzelma i Jana—opisuje Orzeszkowa innych Bohatyrowiczów, różnego wieku, mężczyzn i kobiety. Wybornie przedstawia, jak to w owej wsi litewskiej pracowano i schodzono się na gawędy i bawiono w chwilach wytchnienia. Różne zwyczaje miejscowe są znakomicie oddane. Po żniwach na jesieni jest w Bohatyrowiczach wesele. W wieczór, po powrocie z kościoła i poczęstunku,

www.libtool.com.cn

rozpoczęły się tańce w stodole pomiędzy zasiekami, które tam nazywają torpy. Jan Bohatyrowicz tańczył z Justyną. Coraz to bardziej zbliżali się ku sobie zupełnym porozumieniem ci młodzi. Z korczyńskiego dworu przyszli oprócz Justyny Witold i panna Marta. Czas mijał naogół wesoło. Justyna w pewnej przerwie od tańca zamysliła się głęboko nad różnemi rzeczami. Serce jej uderzało „mocno, prędko, przyjaźnie“, dlaczego? Przypomniała sobie wyraźnie doznany w ciągu lata sen, czy marzenie, w którym „zapaloną lampą świeciła z góry tym domostwom w Bohatyrowiczach i tym ludziom, a promienie jej lampy niemi światła ślizgały się po dachach, ścieżkach, płotkach, szerokich polach, o starożytny grobowiec Jana i Cecylji, o dwór Korczyński i o leśną mogiłę poległych powstańców zaczepiając, *a wszystkie te ułamki jednej całości jakby w łańcuch wiążąc*.”

Czas mijał; zmęczona tańcami młodzież powsiadała do łódek, popłynęła w tę noc pogodną po cichym, poważnym Niemnie.

Pozostawali starsi. Pod lipami na wysokim wybrzeżu siedziało w rozmowie dwoje ludzi, którzy się spotkali oto po latach, Anzelm i Marta.

A rozmowa ich taka była: „Czy panna Marta pamięta, jak pierwszy raz na zaproszenie panów Korczyńskich do Korczyna przyszedłszy ja na panią spojrzawszy, z otwartą gębą stanąłem, aż wszyscy śmiać się zaczęli?.. Ślicznością figury i ognistością oczu pani zdziwiony i oślepiiony zostałem“.

„A pamięta pan Anzelm, ile to gości zbierało się wtenczas w Korczynie? jakie oni plany układali, jakie sprzeczki zawodzili, jakie nadzieje mieli?“

„Jak nieboszczyk pan Andrzej wszystkim przewodził, a nasz Jerzy z narażeniem się niejedną raz pomocą i radą służył?“

„A tak, tak to było! Wieczny smutek“—szepnęła Marta.

„Wieczne odpoczywanie racz im dać sprawiedliwy Bóg!“ czapkę nad głowę podnosząc, wtórował Anzelm.

Umilkli. Przed niemi kilka łodzi i czółen sznurem, a cicho, sunęło po szlaku Niemna, „wiosłami szkliste roztrą-

www.libtool.com.cn

cając tonie i krzesząc w nich złote blaski.“ Od tych łodzi płynących przyleciał śpiew chóralny:

„Leci liście z drzewa, co wyrosło wolne,
„z nad mogiły śpiewa jakieś ptaszę polne.
„Nie było, nie było, matko, szczęścia tobie,
„wszystko się zmieniło i twa dziatwa w grobie.“

Po prześpiewaniu tej pieśni i paru jeszcze, już tylko męski chór zagrzmiął, zahuczał inną skargą, innym, a ciężkim, w tony zaklętym postrachem.

„Jak to pięknie. jak to ładnie,
„kiedy ułan z konia spadnie.
„Koledzy go nie żałują,
„jeszcze końmi go tratują...“

Daleko leciały te dźwięki, daleko; obijały się także o ciemne w tej chwili okna korczyńskiego dworu. Po nieoświetlonych pokojach p. Benedykt chodził i słuchał. „Może nawet słuch natężał i podchwytywał słowa pieśni:

„Szumiała dąbrowa, wojacy jechali.“

Znów chodzić zaczął. O, jak to dawno, dawno było, kiedy te dźwięki i te słowa uderzały o jego młode, gorące serce.

Stanął znowu:

„Nie było, nie było,
Matko, szczęścia tobie.“

Benedykt westchnieniem przeciągłym z głębokiej piersi odpowiedział:

„Wszystko się zmieniło
i twa dziatwa w grobie.“

A potem jeszcze powtórzył: „W grobie, gdybyż wszyscy w grobie!“

„Nie mógł słuchać, nie mógł już dłużej słuchać tych dźwięków i słów, które zdawały się spływać z promiennego szczytu jego świeżej, gorącej miłości... Ciężkim krokiem

przebył się zupełnie ciemną, salę jadalną, do której zaglądał księżyc, i wszedł do swego pokoju oświetlonego palącą się na biurku lampą. Przez wpółotwarte okno naleciało mnóstwo białych nadniemeńskich motylków, wzbijało się pod sufit, krążyło dokoła lampy i z rozpiętymi skrzydłymi padało na okrywające biurko książki i papiery. Benedykt usiadł przed biurkiem i zamyślił się głęboko. Odebrał był właśnie list od brata swego Dominika.

Dominik, ongi zesłany do Rosji, pozostał tam z dobrej woli po upływie terminu, przywykł, zżył się z warunkami, umiłował majątkowe korzyści, zapomniał o ojczyźnie. Benedykt już oddawna usiłował o tym bracie nie pamiętać, zobowiązać dla niego, ale to trudno: „Swoja krew, swój ból, swoja hańba.“ Przyszedł mu na myśl wieczór do dzisiejszego podobny — kiedyś przed laty. I wtedy miał list od Dominika, list namawiający usilnie, aby te kłopoty tutejsze i smutki i niewdzięczną pracę porzucił, Korczyn sprzedał, a do Rosji przyjeżdżał robić niezawodny majątek. Chwilę wahał się wówczas Benedykt, bo właśnie okrutnie ciężko mu było. Co go jednakże pocieszyło, dźwignęło, do rodzinnego miejsca przykuło? Syn. Zapytał: „Widziu, kochasz Niemen, lubisz ty te białe motylki? lubisz ten bór za Niemnem, w którego głębi w cieniu jodeł zapomniany i nieuczczony twój stryj spoczywa snem wiecznym? Dziecko już wtenczas to wszystko kochało, a on pokusy i rady gdzieindziej go wabiące, odepchnawszy, wziął znowu krzyż swój na barki — i został.

Co to? Spieszne kroki ozwały się w przyległym pokoju, otworzyły się drzwi—te same co wówczas, do gabinetu wbiegł Witold. Znowu on! tylko dorosły teraz i tak dojrzały, jakby każdy rok przez niego przeżyty nakształt ziarna w sokach ziemi nad miarę rósł i nabrzmiewał.“ Ojciec zapytał:

— Zkąd przychodzisz? czegoś taki rozgrzany i zmęczony?

— Przychodzę, mój ojciec, z ustami i sercem pełnymi skarg.

— Na kogo? czyich?—zapytał Benedykt.

— Ludzkich,—na ciebie ojczel!

Porwał się Benedykt: „Wiem, gdzie byłeś. Domyślam się, co ci tam Bohatyrowicze nagadali! Skarżą się, że dobro ich zagrabiłem, że ich ze skóry obdzieram, prawda?

— Tak, ojczel!

— Czekajże więc!

I wyjął zwój papierów. „Musisz popatrzeć i przeczytać. Musisz przekonać się, że ten kawał ziemi, o który mi oni proces wytoczyli, do Korczyna zawsze należał. Musisz zawstydić się za posądzenie, że twój ojciec kogokolwiek okradać chce. Nie! jakimkolwiek jestem, do tego jeszcze nie doszedłem...”

Witold odpowiedział: „Przekonany byłem, że nawet myśl o przywłaszczeniu sobie cudzej własności przejść ci, mój ojczel, przez głowę nie mogła.”

— „Więc cóż? więc o co chodzi? więc czyjaż w tej sprawie wina?”

— „Twoja, ojczel!”

Benedykt wybuchnął: „Oni jak tabaka w rogu ciemni, wierzą każdemu pokątnemu doradcy, który z nich sobie trzodę dojnych krów chce uczynić; oni na każdym kroku wyrządzają mi psoty i szkody!..

— „Przebac, ojczel, przerwał Witold; dlaczego oni ciemni jak w rogu? dlaczego chciwością pożerani? dlaczego nieprzyjaźni? Czy niczyjej winy w tym niema, tylko ich jednych?”

I gorącymi słowami począł przemawiać ten syn do ojca. Mówił długo o wielkiej potrzebie oświaty i wzajemnej miłości, ażeby wybawić i podźwignąć naród, ażeby nieść ratunek tym „krwawym cierpieniom wyrastającym z gruntu oranego przez złość i przemoc.”

Benedykt słuchał i czuł, że z obfitych i gorących słów syna powstawała i o pierś mu uderzała jakaś fala błękitna, śpiewna, niegdyś mu dobrze znana, lecz przez życie pochłonięta, a teraz niby z przepaści życia ku niemu powracająca. Obruszył się jednak raz jeszcze i szyderstwem bryznął.

Witold drżał cały:

www.libtool.com.cn

„Nie masz prawa, mój ojcze,—zawołał,—igrać z najświętszymi uczuciami mojemu. Młody jestem, cóż ztąd? Nam, dzieciom czarnej nocy, jak żołnierzom w porze wojny, rok za dwa liczyć się powinien! W upale cierpień prędko dojrzewamy.“

— Ty cierpiełeś?

— Więc myślisz, ojcze, że młodzi nie rozglądają się wokoło siebie, nie rozumieją, nie czują kurczów chłostanej dumy, nie mają litości, która w nich płacze, i trwogi o rzeczy drogie, która w nich krzyczy: ratunku!“

Pan Benedykt pochylił się, szyję wyciągnął, wpatrzył się w syna. „Tak! było to istotnie dziecię dnia burzliwego i ciemnej nocy. Nigdy w jasną pogodę paki kwiatów nie rozwierają z tak męczeńskim pośpiechem swych purpurowych kielichów.“

Witold unosił się coraz bardziej. Mówił o tych uczuciach miłości do kraju i ludzi, które mu ze krwią krążą w żyłach, z mózgiem myślą, a z sercem tętnią. O tych uczuciach i myślach, które są także jedyną nadzieją. Jaką nadzieją? O! jej imienia ojciec wspominać zabrania! „Tu nie wolno żadnego świętego imienia wspominać, bo ciągnie ono za sobą bladą marę strachu. Ochl ten strach wieczny, ta ostrożność niewolników, których drzeniem przejmują sam brzęk ich obroży, to zagrzebanie szlachetnej duszy w prochu bojaźni i interesu.“

Z powodu uniesienia przyszło nawet pomiędzy ojcem a synem do wymiany słów ostrych, bolesnych. Potym Benedykt „z wyciągniętą ku synowi szyją, oczy w nim zatopił, szeroko otwarte, przerażone: „Wiesz ty?—zaszeptał.—Wiesz? Może nie wiesz! ale ja to wiem, widywałem. Wszak ty zginiesz. Czy słyszysz? z tą zapalczywością swoją, z tym ogniem... Niechybnie zginiesz!“

— „Ojcze mój, nie lękaj się i nie żałuj, jeżeli dziecko twoje zginie na mlecznej drodze przyszłości, w blasku jutrzeńki, w ogniu ofiary! Nie są także zaginionymi ci, którzy chodzą po nizinach samolubstwa, zaprzaństwa, rozkoszy ciała, a nędzy ducha?“

www.libtool.com.cn

„Benedykt przez chwilę wspominał, aż serce jego gwałtownym rzutem skoczyło myślą ku bratu, który oddawna, z krwawą plamą na młodym czole pod wilgotną ziemią spoczywał. Długo jeszcze patrzył na syna, aż obie dłonie do głowy podniósł i głucho wyszeptał: „Krwi moja! młodości moja! falo, która nas niosłaś, powracająca falo!” Potym odkrył twarz i, jedną rękę o biurko wspierając, wyprostował się, głowę podniósł, zmienił się dziwnie. Blask jego oczu wilgotny był i jakby rozmarzony, postawa dumna, na syna patrzył.

„—Słuchaj, zaczął jeżeli wam się zdaje, że wy pierwsi wymyśliliście wszystkie szlachetne uniesienia i wzniosłe idee, że wy pierwsi poczęliście kochać i ziemię i lud i sprawiedliwość, to popełniacie błąd gruby i grzech przeciwko—sprawiedliwości.”

Zatrzymał się na chwilę.

„—I w naszych ustach, mówił dalej, brzmiało niegdyś hasło: Młodości! ty nad poziomy wylatuj! I myśmy latali na mleczne drogi i w blaski jutrzeńki i w ognie ofiary! Ten lud... Boże wielki! to-żeśmy się i my ku niemu jak szaleńcy rzucili, jak w słońce w niego wierzyli, na rękach prawie podnieść go usiłowaliśmy, dobro nasze i samych siebie staliśmy przed nim. Krzywdy przez ojców jeszcze zrządzone własnymi ciałami pragnęliśmy unieść ze świata i jego pamięci. A ziemia! Boże! dzieckiem, chłopięciem, młodzieńcem, ja każdą roślinkę, każdą kroplę wody, każdy jej kamień kochałem; mógłbym być wrogiem ludzi, którzy z niej powstał? Niemało nas takich było! Młodzi mędrcy, poeci, rycerze, apostoły... Braku miłości Korczyńskim zarzucić nie można. Jeden ją życiem opłacił... drugiego zawiodła ona tam, gdzie powoli i stopniowo pozbył się czci i honoru... Trzeci, trzeci przeżył życie, zazdroszcząc temu, który w mogile leży.”

„Witold niemy, osłupiały, chciwemi oczyma wpatrywał się w ojca, domysławiając się istoty i natury tej siły, która go tak dziwnie wśród rozmowy z nim przetworzyła.” Benedykt z przyrodzenia nie był skrytym, jeno strasznie uciszyło go—życie. „Sto przyczyn na sto zamków zamknęło mu

www.libtool.com.cn

.

usta. Dopiero dzisiaj rozmowa z synem zerwała z jego serca kamienną pokrywę i otworzyła mowę. Był to opowiadanie? był to spowiedź? był to usprawiedliwienie się przed dzieckiem, tak niezmiernie kochanym, a które mu dziś w oczy cisnęło gradem wyrzutów? Mówił, opowiadał, co się stało i działo po roku 1863, potem, gdy wszystko wpadło w wodę. Zdaje mu się, że setki lat od tego czasu upłynęły, tak wszystko zmieniło się dokoła niego i w nim samym. Zmienił się zaś nie odrazu, nie nagle, ale stopniowo, jak stopniowo rdza gasi blask i wyszczerbia ostrze zakopanego w ziemi żelaza; jak stopniowo szczupleją, tracą siłę i znikają nieużywane do ruchu członki ciała; jak stopniowo zmierzch wieczoru pochłania światło dnia; jak stopniowo ciemnieje w sobie, słabnie, gaśnie człowiek ciężko i nieustannie smutny."

Była już druga po północy godzina. Rozmowa trwała jeszcze, ale serdeczna, pełna wzajemnego zrozumienia. Złączyła tych dwu ludzi powracająca w ojcu fala, uderzyły ich serca jednakim tętnem. Witold, jak niegdyś w dziecięcych latach, ramiona na szyję ojca zarzucił i rozpalonemi usty zcałował grube łyzy, które po tej twarzy ściemniałej, ogorzałej, ze zmarszczki na zmarszczkę ściekały. Syn uszanował, zrozumiał duszę ojca i zjadając go długo rdzę cierpienia. Ojciec powtórna młodością odżył w wierze i dążeniach syna. Inaczej miało się odtąd ułożyć istnienie Benedykta Korczyńskiego, innym, bo odrodzonym miał stać się sposób postępowania z ludźmi i patrzenia na rzeczy.

Początkiem tego zwrotu było, że, o świtanu rozstając się z synem, rzekł uśmiechnięty łagodnie: „No, no! prawdziwie dziwy! Jakby mię fala jaka ze dna wód gorzkich i zimnych na ciepłą murawę wyrzuciła. Chłopcze, pójdziesz tam do nich i powiesz, że tej kary sądowej nie żądam już, nie żądam. Istotnie za wielką jest, a w tym, że ich oszuści wyzyskują i do złego prowadzą,—moja вина! O miedzę z niemi żyję i palcem, aby temu zapobiedz, nie poruszyłem...

Ale nie siedź tam długo, bo przecież wspólnie ułożyć

www.libtool.com.cn

musimy różne projekty i plany na daleką przyszłość... A potem, pod wieczór... może razem popłyniemy..."

Zająknął się: „Na Mogiłę” dokończył.“

Wkrótce po dniu tym pamiętnym zaszło w Korczynie zdarzenie wywołujące pochwałę jednych, a niezmierne zdziwienie drugich zpośród rodzinnej i domowej gromadki. Oto Justyna Orzelska postąpiła lepiej i rozsądniej, niż ongi panna Marta. Nie ulękła się pracy obok rzetelnego uczucia. Kochając Jana Bohatyrowicza i wzajem od niego kochana, właśnie oznajmiła rodzinie o bliskim z nim zamełciu. Na przełożenia i wykrzykniki niektórych osób, zwłaszcza pani Benedyktowej, odpowiedziała: „Brak pracy był mi oddawna trucizną i wstydem! O! jakże wdzięczną jestem temu, który mię pod niski, ale własny, dach swój biorąc, daje nietylko zadowolenie serca, ale zajęcie dla rąk i myśli, zadanie życia, możliwość dopomagania komuś, pracowania na siebie i na innych. Uczoną nie jestem... Ale jeżeli światła, z łaski twojej, wuju Benedyckie, otrzymanego, zostanie mi trochę więcej niż oni go posiadają... z jakimże szczęściem pomędzy nich je wniosę. O! z jakim szczęściem trzymać będę nad nimi ubogą lampkę moją, aby im trochę widniej, jaśniej, weselej było!” Benedykt życzliwie przyjął ten zamiar siostrzenicy.

Tegoż dnia wybrał się do zaścianka, po latach, pierwszy raz po tak wielu latach.

„Poszli drogą sunącą białym szlakiem u spłowiełego kobierca pól. Niebo było białe od okrywających je obłoków; pod nim leciały stada jaskółek. W powietrzu panowała chłodna, smętna, łagodna cisza jesieni.“ Wszedłszy do zagrody Anzelma i Jana, Benedykt prosto ku gankowi zmierzał. A właśnie stał pod okapem ganku Anzelm przygarbiony trochę, w długiej kapocie; powolnym ruchem rękę ku dużej baraniej czapce podnosił.

Oczy tych dwu ludzi spotkały się ze sobą. Przez chwilę milcząc, na siebie patrzyli. Nakoniec Benedykt, kładąc dłoń na pochylonej przed nim głowie Jana, tonem zapytania wymówił:

„— Syn Jerzego?”

www.libtool.com.cn

Anzelm wyprostował się i głowę odkrył, ze snopa zmarzszerek, leżącego pomiędzy brwiami, na wysokie czoło i aż na skronie cienkie nici rozbiegły się niby ukośne promienie. Rękę z czapką wzniosł nieco, na zaniemeński bór nią pokazał i odpowiedział: „Tego samego, który z bratem pańskim w jednej mogile spoczywa.”

Żadne z dzieł Orzeszkowej nie wywarło w swoim czasie tak głębokiego i szczerzego wrażenia, co powieść „Nad Niemnem”. Utwór ten w epoce, gdy był pisany, trafiał bardzo serdecznie do duszy społeczeństwa i to całego społeczeństwa, chociaż przedstawiał w szczególności warunki życia i obyczaje pewnej na Litwie okolicy. Ale bo też, pomimo poszczególnych różnic miejscowe, wspólną całemu narodowi była i jest potrzeba łączności, dźwigania się i obrony; wspólną była przygniatająca nędza ucisku.

I dzisiaj po latach kilkunastu powieść „Nad Niemnem” wartości swojej nie traci i nie powinna tracić w społeczeństwie znaczenia. Nieprzemijającą zaletę tego dzieła stanowi to, że jest pisane serdeczną, a żywą i twórczą miłością do ludzi i ziemi. Dlatego też postacie ludzkie i krajobrazy przedstawiają się czytelnikowi wyraźnie, wypukłe, i zajmują go szczerze. Dlatego po zamknięciu książki nie zapomina o niej czytelnik, bo mu jako ślad pozostało w duszy wzruszenie, ciepłe, serdeczne, dobre uczucie.

Drobną szlachtę zaściankową przedstawioną w powieści „Nad Niemnem”, opisała Orzeszkowa również dokładnie i żywo w książce noszącej tytuł łaciński: „Bene nati.” Wykłada się to po polsku: „Dobrze urodzeni”. Wiemy, że czasu dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej głęboko zakorzenionym i nieubłagany był przesąd dotyczący „dobrego” albo „złego” urodzenia. Szlachcic uważał się za coś zgoła odmiennego od mieszczańca, a tymbardziej od chłopaka li tylko z tej przyczyny, iż się urodził w herbownej rodzinie. Niby to insza krew! Zdawałoby się, że w naszej epoce, z postępem cho-

ciaż jakim takim oświaty, podobny przesąd powinien był uleść doszczętnie zapomnieniu. A jednak tak nie jest. Utrzymuje się to jeszcze tu i ówdzie, a uwydatnia się bodaj najjaskrawiej w niektórych zaściankach czyli „okolicach“ szlacheckich. I jest to w tym wypadku zarazem bardzo śmieszne i bardzo smutne. Taka szlachta zagonowa niczym, ale to zgoła niczym się nie odróżnia od sąsiadujących z nią włościan; ani większą oświatą, ani odmiennym trybem życia. A przecież za nic w świecie nie chciałaby uznać tych sąsiadów za równych sobie. „Dobrze urodzeni“ czyli „Bene nati“ są tacy szlachta,—więc chociaż częstokroć dosyć obdarci i bosi, a jeszcze częściej nie umiejący czytać, zadzierają głowę z pychą i wielkim o wyższości swej rozumieniem. Trzeba mieć nadzieję, że gdy oświata nareszcie bez przeszkód rozleje się po kraju naszym dostatecznie szerokim strumieniem, gdy przeniknie wszędy aż do ustronnych, zapadłych kątów, to rychło i tryumfalnie wypłoszy z nich one przykre przesady, a natomiast obdarzy ludzi myślą mocną i zdrową.

„Bene nati“, dobrze urodzeni, niejednokrotnie przez ową głupią, nieusprawiedliwioną niczym pychę, przez ten swój szlachecki zabobon, gotują sami sobie kłopoty, troski, a nawet zupełną niedolę. Podobny wypadek mamy opisany w niniejszej powieści Orzeszkowej.

Jest sobie młoda dziewczyna, szlachcianka na zagrodzie, Salusia Osipowiczówna. Piękna, bardzo piękna, czarnowłosa i „jak maj różowa“. Siostra najmłodsza z liczego rodzeństwa, wychowała się pod opieką starszego brata, gospodarza w rodzinnym domu. Przebywając w miasteczku pobliskim, u jednej ze starszych sióstr zamężnych, śliczna Salusia poznaje młodego, dorodnego chłopca, Jerzego Chutkę. W prędkim czasie miłość przybliżyła ku sobie tych dwoje. Zmówili się, zaręczyli, niebawem pobrać się mają. Jerzy jest chłopcem rozgarniętym, dość wykształconym, uczciwym i śmiałym. Śmiałości swej, zdolnościom i nauce zawdzięcza pozyskanie posady nadleśnego w dobrach bogatego księcia. Ma zapewniony kawałek chleba i to niezgorszy, wystarczający aż nadto dla niego i dla żony. Wszystko zapowiada się doskonale.

Ale cóż? W niwecz obróciły się rojenia o szczęściu i tak słuszne młodych nadzieje. Rodzina Salusi, brat, siostry starsze, szwagrowie, ani słyszeć o zamiarach takich nie chcieli, za ublizenie to sobie mając, za hańbę, za poniewierkę. Dlaczego? Bo oto Jerzy, aczkolwiek bez porównania od nich rozumniejszy i bardziej wykształcony, a nawet posiadający lepsze stanowisko w świecie, jednakże ich nie godzien; jest chłopem, synem pańszczyźnianego ongi chłopca.

Krzykami, gniewem, groźbą pozbawienia posagu, przywodzą do tego Salusię, iż nareszcie odstępuje narzeczonego, odsyła mu dany na zrękowiny pierścionek. Konstanty Osipowicz, brat i opiekun, do pożegnalnego listu dziewczyny kazał posłańcowi dodać od swego imienia kilka słów pysznych, złych i głupich, urągających chłopskiemu pochodzeniu Chutki.

Salusię chce wydać rodzina za najbogatszego w okolicy młodzieńca, jedynaka u ojca sknery. Jest to jednakże chłopak od narzeczonej trzema latami młodszy, a przytym nikły jakiś, niedojda, niezdarny, głupi. W Salusi jeno wstręt budzi, odrazę; przyrównuje go do ślimaka.

Dziewczyna ta ma dwoistą naturę. Pewna chciwość i próżność skłoniła ją do posłuchu namowom rodziny. Uśmlechają się jej bogactwa i panowanie w zasobnej chacie przyszłego męża. Obok tego jednakże nurtuje w sercu tęsknota; od czasu do czasu straszny ból piersią wstrząsa; dziewczyna miłuje Jerzego, zapomnieć pomimo wszystko nie może. I walczy w niej ta dwoistość; przemaga to jedna, to druga strona.

Nareszcie przychodzi wyznaczony a uroczysty dzień wesela. Zjechali się goście, ruch, wrzawa.

Lecz cóż się staje? W Salusi jakoby buchnęła odraza do niemiłego a narzuconego jej oblubieńca. W jego oczach ciska pierścionek zaręczynowy na ziemię. Następnie korzystając ze świątecznego zamieszania w domu, ucieka. Całą noc i dzień cały idzie, a raczej biegnie, leci. Spieszy tak do Jerzego. Powie mu: Przebacz, daruj winy! wróciłam! Wszyst-

kiegom poniechała dla ciebie, nic i nikogo już teraz nie mam na świecie i jestem tylko twoja.

Z temi słowami w gorącym, wzburzonym sercu leci. Długa droga; pięć mil oddziela ją od miejsca zamieszkania Jerzego.

Gdy nareszcie przybyła, znajduje dom oświetlony światecznie, widzi przez okno gości; wystawny, weselny obiad jedzą. Czyżże to ślub się odbył? czyje teraz wesele? Dowiaduje się nieszczęśliwa, że właśnie Jerzego.

I oto głupi przesąd zniweczył wszelką radość i złamał życie biednej, młodej Salusi.

Jerzy po brzydkim, małodusznym postępku narzeczonej był narazie ogromnie przybitym. Najgorzej mu dolegała obraza wyrządzona przez Konstantego i jego uczciwemu pochodzeniu i jego zacnym, a kochanym rodzicom. Utracił z tego powodu i spokój wewnętrzny i zaufanie do ludzi. Obawiał się zewsząd powtórzenia obelgi i przeto sam się hardo począł usuwać od życzliwości i przyjaźni wszelkiej. Znaleźli się wszakże ludzie rozsądniejsi i lepsi, którzy potrafili mu przynieść ulgę i z wolna zadaną ranę zagoić. Takim lepszym i rozsądniejszym był Florjan Kulesza, dzierżawca folwarku, w którym jako nadleśny mieszkał Jerzy. Kulesza, z pochodzenia również szlachcic zaściankowy, przecierał się, jak sam powiadał, po świecie, tak, że mu z głowy wyleciały doszczętnie głupie uprzedzenia i fochy. Przyjacielską rękę wyciągnął był ten Kulesza do Jerzego, przekonał go do siebie, uspokoił. Właśnie z córką Kuleszy, Aurelką, żenił się Chutko, w chwili, gdy doń śpieszyła biedna, zapóźno przychodząca Salusia.

Zwróćmy się raz jeszcze do pięknej opowieści: „Nad Niemnem“.

Pamiętamy, że jeden z braci Benedykta Korczyńskiego, Dominik, osiadłszy w Rosji, stopniowo zubożył dla wszystkich, co ojczyste, bolesne, swoje. Dotknęła w tym Orzesz-

kowa jednego ze smutków społeczeństwa, a mianowicie tego smutku, który ona sama odczuwała głęboko. Oto—nie wszyscy mają siłę wypełnić obowiązek i wytrwać tam, gdzie ciężko. Z przestrzeni mrocznej uciekają ludzie, szukając pogody; od pracy twardej, a nie przynoszącej osobiście nic, albo bardzo mało, uciekają tam, gdzie ich czeka łatwość zdobycia smacznego chleba i rozrywki.

A przecież ta mroczna przestrzeń i ta twarda praca—to Ojczyzna. Każde oderwanie rąk, które dla niej działać powinny, każde odsunięcie serca, które w niej i dla niej się narodziło, to krzywda i kradzież.

Orzeszkowa z głęboką troską pisała o tym w różnych utworach. Dziełem całkowicie tej myśli poświęconym jest powieść „Australczyk.” Występuje w niej człowiek młody, zdolny, który dla zdobycia wygodnego bytu i znaczenia czyli dla tak zwanej „karjery” zamieszkał w Petersburgu.

Z powodu jakichś wyjątkowych okoliczności przyjeżdża do krewnych na Litwę w dawne rodzinne strony. Przyjeżdża na czas krótki. Znajduje ludzi i warunki, sposób życia i myślenia, tak od wszystkiego, czym się przejął, odmienny, że się niezmiernie i bez przerwy dziwi. Przywykł myśleć tylko o sobie, pracować tylko dla siebie, tak jakby sobie powtarzał nieustannie i w kółko: ja, moje, dla mnie, we mnie. Tu zaś spotyka ludzi wyraźnie i całkowicie żyjących dla społeczeństwa i z których każdy wprowadza w czyn właśnie przeciwną, nie samolubną zasadę. Tego przybysza i tych pracowników miejscowych dzieli taka odległość przekonań, jak przestrzeń mórz pomiędzy dwoma lądami, dwoma częściami świata. A ponieważ Orzeszkowa za prawdziwą cywilizację uważa zrozumienie i wypełnienie obowiązków społecznych, przeto człowieka, który odbiegł od nich, odwyknął i już nie pojmuje, nazywa dzikim czyli Australczykiem.

Po pewnym czasie, po okresie zdumienia, a potem walce z samolubstwem, budzi się jednak w tym Australczyku uśpione od tak dawna sumienie. A zbudziwszy się, przemawia tak silnie i tak głośno, że już go niczym stłumić nie

można i Australczyk, zaniechawszy widoków „karjery,” w ojczyźnie pozostaje.

Pomiędzy uciekającymi od obowiązku są nietylko ci, którzy wyjeżdżają z kraju. Widzimy niejednokrotnie pozostałych na miejscu, a przecie tak obojętnych, obcych, dalekich wszystkim potrzebom, pracom i niedolom narodu swego. Jakby oddzieleni byli niepomierną przestrzenią. Stoją jakgdyby na przeciwległym krańcu ziemi. Są niby na jednym biegunie, a zaś na drugim wszystko, co dzieje się w narodzie i odzywa wspomnieniem, pracą, wysiłkiem, krzykiem pragnień i bólu.

O tych samolubach myśląc, o tych wyziębionych, albo nierozwiniętych, lecz w każdym razie najbardziej i najpowszechniej szkodliwych, z głębokim smutkiem rozmyślając, napisała Orzeszkowa powieść p. t. „Dwa bieguny.”

Przedstawiony jest w tym utworze niejaki Zdzisław Gronowski. Młody, zdolny i wykształcony, więc mógłby nietylko z innymi działać, ale przodem idąc, innym świecić. Bardzo zamożny, więc mógłby oddać pracy obywatelskiej nietylko czas swój, lecz i majątek. Posiada nawet niezgorsze serce i pewną przyrodzoną szlachetność. Te zalety jednakże zostały się w nim w zarodku, nie zdołają rozwinąć się, są stłumione. W tej istocie, stworzonej na człowieka, właśnie stłumione jest prawdziwe *człowieczeństwo*. Jak się to stało?

Od pierwszych lat młodości Gronowski ćwiczył się jedynie, jak sam powiada, w sztuce „uprzyjemniania sobie życia”. Najstaranniej odsuwał od siebie wszelki trud, przymus wszelki; unikał wejrzenia na rzeczywistość, która bywa jeśli nie zawsze gorzką, to w każdym razie wymagającą walki i pracy.

Dużo jest u nas takich wyosobnionych, ludzi nie ludzi, żyjących jakby na wyspie wpośrodku społecznego morza. Istnieją oni i gdzieindziej, lecz w kraju naszym, wobec wyjątkowo ciężkich warunków narodowego bytu, taki fakt staje się szczególnie dotkliwym, krzywdzi dobro ogólne i boli.

www.libtool.com.cn

Zdzisław Gronowski posiadał obszerne koło znajomych, wszyscy z poglądów i sposobu życia do niego i między sobą podobni.

Cóż ich zajmuje? Smaczne jedzenie i picie, piękny ubiór, a już w pierwszym miejscu zabawa. Bawić się! Do znajdowania rozrywki zmierzają ich myśli i chęci, rozrywka stała się dla nich prawem, a drugim prawem moda. Nawet wykształcenie, nauka, o tyle w ich oczach warte, o ile przynoszą miłą rozrywkę i są w modzie.

Trafia się między niemi zamiłowanie do pięknych rzeczy np. malarstwa, rzeźby, muzyki, ale i to powinno nie sprawiać nigdy trudu, nigdy istotnego ludzkiego wysiłku, nie mieć, broń Boże! wygody.

Ciasny i marny światek! a jednak istotom w nim żyjącym wydaje się właśnie, że są prawdziwym, całym światem. Ludzi nie należących do tej sfery, do tego kółka, pomijają spojrzeniem tak obojętnym, jakby to były przedmioty jakieś martwe.

Pomijają też oczywiście wiele najważniejszych rzeczy.

Tak wychowany i w takim otoczeniu przebywający Gronowski spotyka wypadkowo kobietę, której życiową treść stanowi służba dla kraju. Imię tej kobiety: Seweryna Zdrojowska. Jest to sierota po niedawnej śmierci ojca i ukochanego nad wyraz brata.

Brat ten zginął w powstaniu, gdyż wypadki, opisywane przez autorkę, toczą się w niewiele lat po 1863 roku.

Na Sewerynę spadły dość znaczne, dziedziczne dobra. Jednakże nie uważała się ona za właścicielkę, jeno za szafarkę—dla ludzi.

Na zapytanie, dlaczego? odpowiada:

„Bo posiadaczem tego majątku byłby brat mój, gdyby żył“.

— Ale ponieważ umarł?—mówią jej pytający.

— „Powinnam obrócić go na jak największą korzyść tego, co on ukochał.“

Jakoż tak w całej rozciągłości czyni.

Żadna sprawa społeczna nie uchodzi jej uwagi. Wszyst-

www.libtool.com.cn

kie zasoby, wszystkie dochody znacznego majątku obracane są na krzewienie oświaty wśród okolicznych wiosek, na podnoszenie rolnictwa i wogóle dobrobytu, na pomoc ludziom, jak dalece stosunki sięgają, ratunek w chorobach, niedostatku, utrapieniu.

Seweryna i całe jej otoczenie to jakby jeden biegun na kuli ziemskiej, a Zdrojowski, wraz z swoim światkiem, przeciwny biegun drugi.

Pomimo tej odległości zawiązuje się między tych dworgiem młodych ludzi serdeczna miłość. Trzeba się tedy zbliżyć, trzeba aby jedno zeszło ze stanowiska, odstąpiło od swego sposobu życia. Seweryna uczynić tego nie może, bowiem to, w co wierzy, jest prawdą i dobrem, a to, co czyni—obowiązkiem. Gronowski przeciwnie czuje, iż powinienby się odmienić, ale—nie ma dość woli i siły.

I tak się smutni rozchodzą.

Dwie powieści Orzeszkowej, jedna p. t. „Niziny“, druga: „Dziurdziowie“ przedstawiają opłakaną ciemnotę panującą wśród ludu w wielu miejscowościach naszego kraju, oraz smutne, a częstokroć straszne ciemnoty owej skutki.

W „Nizinach“ opisany jest wyzysk łatwowiernych i nieoświeconych przez nieuczciwego, pokątnego doradcę, wrzekomo adwokata. Doradca ten obiecuje ubogiemu fernalowi odzyskanie gruntu, z którego stryj niegdyś sierotę małoletniego wygnał. Prowadzi też drugą sprawę: nieszczęśliwej matce obiecuje to wyrobić, iż syn jej odslugujący wojskowość zostanie w okolicy, a nie pojedzie kędyś na krańce Rosji, czy Sybiru. Młody żołnierz jest chłopcem chorowitym, słabym, nie zniósłby może pobytu w odległych stronach, matka w rozpacz chce go wszelkiemi sposobami ratować. Pokątny doradca wyludza od niej grosz po groszu wszystkie, krwawą pracą uciulane pieniądze. Tak samo postępuje w drugim interesie z fernalem. W rzeczywistości zaś nic na korzyść tych nieszczęśliwych nie działa, bo ani umie, ani może. Okłamuje haniebnie łatwowiernych; poczym wycisnąwszy z nich grosz ostatni, pozostawia w najcięższej niedoli i nędzy.

www.libtool.com.cn

W powieści „Dziurdziowie” jeszcze smutniejszy, nawet straszny wynik ciemnoty. Oto na młodą, dobrą i roztropną kobietę, matkę kilkorga drobnych dzieci pada najgłupsze podejrzenie o czary. Nieszczęśliwa kobieta tym jeno zawi- niła, że zna się cokolwiek na ziołach, na różnych lekach i chętnie w każdym wypadku śpieszy z pomocą. Przyjmują to ludzie życzliwie, chociaż z powodu ciemnoty i nieuctwa przypuszczają w tym wszystkim działanie jakiejś nadprzy- rodzonej siły.

I tak jest przez czas dość długi. Na nieszczęście poja- wia się we wsi, w chałupie jednego z gospodarzy, choroba. Rzecz przecie zwyczajna, aż nadto pospolita, tym niemniej o sprowadzenie jej oskarżają Pietrusię (takie imię tej biednej kobiety).

Życzliwość ustępuje miejsca niechęci i strachowi. Od- tąd wszystko dokuczliwe, wszystko w codziennym życiu tra- piące składa ta ciemna ludność na karb złej siły, ujawnionej w Pietrusi. Nienawiść poczyną wzrastać dokoła biednej ko- biety.

Zdarza się właśnie, iż we wsi krowy nagle z mlekiem ucieły. Zamiast dochodzić rozsądnie istotnych tego przyczyn, jeden wspólny głos oskarżenia: to zapewne sprawa Pietrusi! I uciekają się ludzie do starego zabobonu. Przy drogach rozstajnych jest rozniecone ognisko; otoczyli je kołem, cze- kają. Która kobieta teraz pierwsza na ogień przyjdzie, ta bezwątpienia czarownica, winowajczyni ubytku mleka. I oto nieszczęśliwy zbieg okoliczności, że pierwsza przechodzi tam- tędy wracająca z pola Pietrusia.

Ciemni ludzie uważają to za znak nieomylny i dowód. Nienawiść codzienna prześladowe niewinną. Wreszcie pewnej nocy zimowej kilku chłopów z zamieszkałej we wsi rodziny Dziurdziów okrutnie zabija kijami biedną, młodą, dobrą ko- bietę. Drobne dzieci pozostały w sieroctwie, pozostał w roz- paczy pogrążony mąż zabitej, Dziurdziowie zabójcy wyro- kiem sądu skazani do ciężkich robót w Sybirze. Takie są owoce wylętego w ciemnocie zabobonu.

W obu powieściach, o których była mowa, występu-

jące osoby odzywają się niejednokrotnie po białorusku. Dzieje się tak, ponieważ wypadki opisywane przez autorkę mają miejsce w dzisiejszej guberni Grodzieńskiej, gdzie ludność włościańską stanowią przeważnie Białorusini.

Trzecia obszerna powieść Orzeszkowej o stosunkach i życiu wiejskiego ludu nosi nazwanie: „Cham”.

Występuje w niej rybak nadniemeński Paweł. Człowiek to lat czterdziestu kilku, cichy, mało mówny, zamknięty w sobie. Z ludźmi niewiele i nawet niebardzo chętnie przestaje, odzywa się nader rzadko.

Ale gdy się do kogo zwróci, to zawsze z czynem pomocy, współczucia braterskiego, ulitowania; jeżeli do bliźniego przemówi, to nieodmiennie z uśmiechem łagodnym wielkiej dobroci. Bo też głęboko dobrą jest prosta i cicha dusza owego Pawła. Zawierają się w niej bogactwa miłości i przebaczenia.

Zdarzyło się, iż ten nadniemeński rybak poznał dziewczynę z miasta imieniem Franka. Nieszczęśliwe to jakieś stworzenie, które zaznało niejednokrotnie niedoli i poniewierki, a w tej poniewierce stargało się zdrowie ciała i zepsuło zdrowie duszy.

Franka jest chora, a przytem leniwa i próżna, złośnica, kapryśna, a eo najgorzej, zupełnie niezdolna do zastanowienia się nad sobą i czynami swemi.

Paweł uczuwa nad tą nieszczęsną ogromną litość, pragnie wydzwignąć ją z ciężkiej niedoli i uzdrowić na duszy. Potym do litości przyłącza się miłość. Dalszy ciąg taki, że rybak pojmuje Frankę za żonę.

Z początku dobrze obojgu. Niebawem jednak w kobiecie odzywają się przygluszone tylko złe, nieszczęśliwe skłonności.

Spowszedniała jej miłość dla męża, którego teraz nazywa wzgardliwie „Chamem”.

Narzeka na los swój, na chłopską dolę, pomiata całym otoczeniem, krewnymi, uważa się za coś nieskończenie od nich lepszego i wyższego. Przewrócone ma pojęcia o wartości człowieka, goni za świecidłami; chłystka lokaja z są-

www.libtool.com.cn

siedztwa rychło poczyną przekładać nad swego Pawła, a to ze względu na modne ubranie i uczesanie.

Pożycie małżeńskie staje się pasmem kłótni, wybryków różnych i bałamuctwa Franki, nareszcie doszło do opuszczenia męża i ucieczki w świat za owym eleganckim lokajem.

A ów „Cham”, którym tak żona pomiata? Cóż na to wszystko mówi, co przeciw temu poczyną?

„Cham” ponieważ wziął tę kobietę i przysiągł przed Bogiem, że jej nie opuści do śmierci i nie da na zatracenie nieszczęsnej duszy, dotrzymuje tej obietnicy z prawdziwą siłą i wielkością charakteru. Jest dla żony niewyczerpane łągodny i dobry; dobrocią tą ma nadzieję trafić do zbałamuczonego serca, ginące życie jeszcze na dobrą wyprowadzić drogę.

Gdy Franka porzuca go niegodziwie, nie złorzeczy jej, a przeciwnie przed napaściami języków ludzkich, jako może, osłania i broni. Siebie obwinia, powiada: nie umiałem jej jak należy do poprawy przywozić, zanadto pobyłałem, nie ona grzeszna, ja grzeszny.

W długie noce jesienne i zimowe stawia lampkę w okienku chaty, aby światełko w ciemności wskazywało kierunek, jeżeli przypadkiem—ta nieszczęśliwa powróci. Ze wzruszającą tkliwością serca o tym myśli, że może w tej chwili biedna, zziębnięta i głodna, i żałująca błąka się niedaleko wioski i nie śmie do mężowskiej chałupy zapukać. Więc niechże ten płomyk lampki i drogę jej pokaże i upewni, że tu ją czekają, że tu przyjętą będzie.

Ale Franka nie wraca, choć mija niejedna noc zimowa.

Z niezachwianą cierpliwością Paweł co wieczór lampkę wystawia i czeka.

Dusza owego „Chama” jest pełna tej prawdziwej, wielkiej miłości, której ani czas nie wygryzie, ani wyziębłą nieszczęścia i zawody.

Nareszcie — kiedyś po paru leciech nieobecności przychodzi. Zziębnięta jest, jak przewidywał Paweł, i głodna,

i chora i żałująca. Ale — nadomiar wszystkiego nie sama przychodzi.

Przynosi dziecko.

W pierwszej chwili straszny gniew i ból już zanadto wielki szarpnęły duszę męża. Poczuł, że chciałby tych dwoje natychmiast wyrzucić z chałupy. Pohamował się jednak wysiłkiem, nic nie rzekł narazie. Przez całą noc okropnie walczył sam z sobą. Rano, spojrzawszy na dziecko, rzekł tylko: Cóż ono temu winno? A do żony zwrócił się z poleceniem, by po dawnemu gospodynią tu była.

Poszedł ku rzece, cały dzień czółnem gdzieś pływał pomimo wiatru przejmującego i chłodu i słoty. Wieczorem wrócił jak zawsze łagodny, uspokojony.

Ogromna dobroć męża z początku głęboko wzruszyła Frankę. Przez kilka miesięcy snuło się zgodnie pożycie.

Paweł polubił dziecko żony, przyjął je serdecznie za swoje. Zdawało się, że skończone są ciężkie próby. Na nieszczęście Franka była stworzeniem nietylko zepsutym, ale przede wszystkim chorym na cierpienie nerwowe zwane „histerją”. Ludzie w wysokim stopniu chorobą tą dotknięci niezdolni już są do porządnego pracowitego życia i częstokroć dochodzą do różnych niepokojów, wybryków, nawet do obłąkania. Cóż podobnego działo się z żoną Pawła. Po krótkim uciszeniu powróciły dawne narowy z tym większym wyrzekaniem, wyklinaniem i lamentem, że rybak, pomyślny złych skutków dawnego pobłażania, obecnie za wszystko surowo karmił i do roboty bez ustanku nagał.

Czynił to zawsze bez gniewu i z jednaką w sercu miłością, li-tylko dla dobra tej duszy, której nie chciał dać na zagładę.

Franka jednakże nie była w stanie tego zrozumieć i poczęła nietylko sobie przykrzyć wymagania męża, ale po prostu go nienawidzić. Poczęła go ponownie zdradzać. Powzięła gwałtowne upodobanie do młodego chłopca z sąsiedniej chałupy. Sama narzucała mu się, wszędy za nim latając. Ludzie zwrócili na to uwagę, cała wieś zatrzęsała się ze zgorszenia. Doszło to wtedy oczywiście do wiadomości Pa-

www.libtool.com.cn

wła, który poraz pierwszy w życiu postanowił wybić żonę. Nie z gniewu, nie dla dogodzenia swej zemście, ale, jak sam powiadał, aby nieszczęsną duszę choć tym sposobem od grzechu ratować.

A pamiętajmy, że nie był ten Paweł człowiekiem tępy, albo nieczułym. Przeciwnie, uderzenia wszystkich bólów i zniewag trafiały go w serce głęboko i nosił w sobie ich ślady niezagojone bardzo długo. Ale umiał miłować. Nietylko zmysłowo, zarem krwi, jak się najczęściej pomiędzy ludźmi zdarza, ale bez porównania lepiej, wzniosłej i trwalej, tą prawdziwą i zupełną miłością, którą człowiek powinien uczuwać do bliźniego człowieka.

Franka z pogardą nazywała go „Chamem“, uważając za coś godnego lekceważenia, a przecież ten prosty rybak na największy zasługuje szacunek, bowiem umie w życie swoje wprowadzić i wcielić wyznawaną przez się zasadę.

Wielu jest ludzi bardzo głośnych, wygłaszających różne wzniosłe zasady, a przecież w życiu własnym nie postępują podług tej swojej wiary. Przekonanie odmienne od czynu.

Np. jakże wielu powiada o sobie, że są chrześcijanie, a jak nieliczni, wyjątkowi ci, którzy istotnie i zupełnie podług chrześcijańskiej zasady żyją. Paweł wierzy po chrześcijańsku, że trzeba przebaczać, że trzeba kochać duszę bliźnią, tak aby ją podźwignąć, a więc cierpliwie, niewyczerpanie i do końca pomimo wszystko. I okazuje tę swoją wiarę w czynach.

Po ukaraniu złej żony bardzo cierpiał, pokrzepiał się jednak nadzieją, że to już sposób skuteczny, ostatni.

Tymczasem rozszalała z gniewu Franka we współprzemyślenie swej głowie powzięła zamiar zemsty, otrucia męża. Miała ukryty w skrzynce przyniesiony ze sobą z ostatniej wędrownki proszek trujący. Wsypała go mężowi do jadła.

Paweł dnia tego niegłodny, spożył strawy niewiele, jednakże trucizna o tyle poskutkowała, że dostał boleści, omdlał. Zlecieli się krewni, sąsiedzi, powstał lament, niepokój: co? skąd choroba? Rychło zmieszanie Franki, jej skrzynka

www.libtool.com.cn

wpółotwarta, porzucony po proszku papierek, naprowadziły na słuszne domysły. Właśnie przejeżdżał przez wieś urzędnik, doniesiono mu wnet o wszystkim; kobietę zaaresztował.

Paweł, przychodząc do siebie po omdleniu, usłyszał i obaczył, co zaszło. Co się tam dzieć musiało w jego sercu, tego nigdy nie wyjawiał nikomu. A przecież musiała być straszna męka. Oto istota, którą jak duszę własną miłował, nie dała się niczym ujednać i za wszystkie dobrodziejstwa płaciła mu teraz zbrodnią, zamachem na jego życie.

Postanowił jednakże uczynić jeszcze to, co uważał za obowiązek swego kochania. Gdy noc nadeszła, zebrawszy siły, popłynął wiernym czołnem swoim do miejscowości nadrzecznej, w której mieszkał urzędnik. Prosił, by mu oddano żonę, gdyż jej przebacza. Postępek jej w rozmaity sposób tłómaczył, byle oddać pozór usiłowania zabójstwa. Urzędnik zdumiony wielkodusznością, której nawet należycie ocenić nie umiał, naprzemian śmiał się i dziwił, a w końcu na prośbę przystał. Rankiem chłodnym i mglistym przywiózł Paweł żonę do domu i tutaj po raz wtóry powiedział bez goryczy: będziesz, jak byłaś, w chałupie gospodyni.

Franka słucha i uszom nie wierzy, a potem nie mieści się to wszystko w jej biednej, nawpółprzytomnej głowie. Poraziła ją nadludzka dobroć męża. Już sobie tego wcale wytłómaczyć nie umie. Czuje się tą wielkodusznością przełknioną, zgnębianą.

Przez dzień, czy też dni parę jakby w oblędzie chodzi, a w wietrzną, burzliwą noc, wykradłszy się z chałupy, wiesz się opodał na przydrożnym drzewie.

Paweł wychowuje osieroczone dziecko.

O France nie odezwał się nigdy potępiającym słowem. Ale również ani chciał, ani mógł wygładzić ją z pamięci.

W jego duszy przetrwała niezachwiana miłość i troska.

W długie, ciemne wieczory, gdyby się kto był zakradł pod chałupę Pawłową, mógłby się snadnie przekonać, że rybak nie śpi, do późna czuwa. I oto jak czas odpoczynku

www.libtool.com.cn

spędza. Modli się zarliwemi, prostemi słowy: „Boże, bądź miłościw jej grzesznej! Boże! Boże!”

Piękność charakteru Pawła stanowi główną cechę tej powieści, a także bardzo godnymi uwagi są pełne uczucia i prawdy opisy uroczej nadniemeńskiej przyrody.

Głęboko wzruszającym jest niedługie opowiadanie p. t. „W zimowy wieczór”.

Rzecz się odbywa także gdzieś we wsi na Białejrusi. Szaleje wichur i zadymka śnieżna, a w noc tę okropną z trudem i wysiłkiem wędruje samotny podróżny. Człowiek to niezwykajny i zarówno zły, jak nieszczęśliwy. Jest to słynny na całą okolicę rozbójnik Bąk. Parokrotnie więziony, sądzony i zsyłany do ciężkich robót w kopalniach, za każdym razem potrafił się z nich wydostać i uciec, dzięki niepospolitemu sprytowi i śmiałości. Od ostatniej ucieczki upłynęło właśnie lat parę, w ciągu których Bąk, przedostawszy się do rodzinnego kraju, pracował w fabryce jako robotnik, oczywiście pod przybranym jakimś nazwiskiem.

Nieszczęśliwy człowiek, bo oto może już zapragnął odmienić rodzaj życia, do uczciwego zatęsknił zajęcia. Ale, niestety, prześladowały go następstwa dawnych grzechów: policja wszędzie poszukiwała zbiegłego z Sybiru. Wytropiono go wreszcie. Musiał porzucić fabrykę, znowu uciekać i znowu kryć się jak zwierz nielitościwie ścigany.

W zimowy wieczór, w zadymkę przekradał się do wsi swej rodzinnej, w której nie powstał już od lat bardzo wielu. Do jednej z chat zakłatał, poprosił, aby mu spocząć dozwolono. W tej chacie zgromadzona była cała rodzina: ojciec, surowy i poważny gospodarz Mikuła, dwóch synów, dwie synowe, najmłodsza córka i wnuki. Była tam także stara ciotka babula. Na kominie palił się ogień. Podróżnego wpuszczono, gościnnie wysunięto mu stołek, by usiadł i nawet poczęstowano wieczerzą. Przytym prowadzono dalej rozpoczętą rozmowę. Właśnie starszy syn gospodarza opowiadał o po-

www.libtool.com.cn

szukiwanym przez policję rozbójniku Baku, o jego jeszcze niezapomnianych w okolicy przestępstwach i o tym, że jeśli go teraz wezmą, dwieście pletni mu wsadzą i do katorgi zasądzą na całe życie.

Wszyscy słuchali nawpół z zaciekawieniem, nawpół ze zgrozą. Stary ojciec Mikuła, który miał twarde i nieubłagane poczucie sprawiedliwości, odezwał się, że tak jest dobrze, tak być powinno; „niech przestępcy nie dokazują, cudzego nie ruszają, niewinnej krwi nie marnują, bo tego zabronił Pan Bóg Najwyższy, a wszystkim niewinnym ludziom od niesprawiedliwości i krzywdy obrona i ubezpieczenie być powinno“.

I gdy się tak gawęda wiła, nikt z mieszkańców chałupy nie domyślał się osobistości zziębniętego i zgłodniałego wędrowca. I jeszcze jednej rzeczy nikt się domyślić nie mógł... Bo oto temu podróżnemu coś było... Tak się jakoś niezwykajnie, chociaż ukradkiem, rozglądał po całej izbie, przypatrywał się wszystkim kątom. Potym zapytał starego gospodarza o żonę, a gdy mu powiedziano, że przed dziesięciu laty umarła, zadumał się głęboko i dziwnie. Zapytał o Jaska.

— „Jakiego Jaska?“—fajkę od ust odejmując i bystro na gościa patrząc, zapytał stary.

— „O, jakiego! zaśmiał się gość; a toż waszego trzeciego syna, panie gospodarzu!“

Teraz zadziwili się wszyscy: „Czy wy tutejsi, że tak wszystko wiecie?“

Gość pytaniami obłączony rozgniewał się zrazu, ale potem naprędce wytłumaczył, że kiedyś tu był, przed dwudziestu laty, najmował się za robotnika, gdy nowy dwór budowano. Zaspokoiło to wszystkich, prócz gospodarza, który uważnie na mówiącego popatrzył: „Coś cię mnie mroczy się w oczach... Albo zdaje się, że was znam, albo zdaje się, że nie znam...“

Długie są wieczory zimowe; wiele rzeczy się w nich pomieścić i wydarzyć może. Domowi stopniowo o tym i owym pogadywać zaczęli.

„Wtym nad gwarem podniósł się doniosły, pewnością

siebie brząający głos Aleksego, który zawołał: „A o Baku nie słyszeliście tam czego, po świecie chodząc, ha?”

„Wszyscy umilkli, odpowiedzi ciekawi, ale i gość przez dobre pół minuty milczał. Potym spokojnie odpowiedział: „Czemu nie słyszałem? Słyszałem. Cały świat teraz o nim tylko gada”.

Tu rozmowa znów powróciła do sprawy Baka. Podróżny parokrotnie się zdradził. „Każdego człowieka nieszczęście spotkać może i żadna matka nie wie, kogo na rękach swoich kołysze...” — mówił z goryczą.

— „Każdego nieszczęście spotkać może, spokojnie i pozwoli odezwać się Mikuła, ale taki najgorszy, który drugiego człowieka ubije”.

— „Najgorszy! najgorszy! powtórzył podróżny, a wiecież wy, panie gospodarzu, że najgorszość czasem blisko, o! jak bliźniutko najlepszości leży... I żeby nie zdarzenie jakie... możeby zamiast tej najgorszości była najlepszość”...

Tak mówił i nie mógł się we wzburzeniu, czy w bólu swoim uspokoić.

Dotąd wszyscy w milczeniu zaciekawieni i zdziwieni słuchali mowy jego zuchwałej i namiętnej... Ale Aleksey dłużej już milczeć nie mógł. — „Ej! Ej! — zawołał, — coś wy zanadto bronicie rozbójników!”

Gość wyprostował się znów i młodemu chłopu w same oczy spojrzał. „O! o! — z szyderstwem w głosie i poruszeniem głowy odpowiedział; — w ciepły kożuch wlaź i kontent, że mu dobrze! A nad takim, z którego i skórę zaraz zedra, żadnego już politowania mieć nie trzeba?”

Stary Mikuła fajkę od twarzy odjął, krzaczyste brwi zsunął i twardo, krótko, srogo, wymówił:

— „Nie trzeba”.

Możnaby myśleć, że dwa te wyrazy gościowi w twarz rzucił i że ten uderzenie ich poczuł, tak szybko całym ciałem zwrócił się ku staremu i tuż przy nim usiadł.

A usiadłszy, zapytał: „Panie gospodarzu, a co z waszym Jaśkiem słychać?”

— „Z jakim Jaśkiem?” — szorstko odrzucił stary.

www.libtool.com.cn

— „A z trzecim waszym synem. Dwuch tu jest, a trzeciego niema. Czy wy już o nim ze wszystkim zapomnieli, panie gospodarzu?”

Temi słowami dopytywał się Bąk, nieszczęśliwy, ścigany jak zwierz po drogach, rozbójnik Bąk, który się dawniej nazywał Jaskiem i wtedy był pierworodnym synem w tej chacie. Ciągnęło go zajrzeć do niej po tylu latach i zapewne po raz ostatni w życiu. Dlatego z trudem ku niej drogę swą nakierował w ten wieczór zimowy. Nikt go nie poznał, tylko staremu ojcu stawało się jakoś dziwnie i coraz dziwniej. Od nikogo też nieszczęśliwy nie pragnął być poznany tylko od tego starego, a surowego ojca.

Mikuła na pytanie o Jasku zrazu niechętnie odpowiadał, ale potem zwolna, opanowało go wzruszenie i chęć zdjęcia opowiedzenia dziejów owego niegdyś umiłowanego syna. Opowiadali we dwoje ze starą babą ciotką. Mikuła pomału mówił, jeszcze z ciężkością; baba prędko i wiele.

Sprytny był ten Jasiek i zdolny i do wszystkiego śmiały. Z nierozwagi, z krewkości młody napisał sobie niedoli. Zasądzono go na trzy lata więzienia. Po upływie tych lat powrócił jakże zmieniony. Nauczyli go w więzieniu wszystkiego: pijatyki, złodziejstwa, wybiegów. Ojciec, który go bardzo miłował, zląkł się teraz o całą przyszłość syna i o ile mu dawniej pobił, o tyle obecnie postanowił surowością wybić mu z głowy złe nauki i przykłady. A w surowości tej nie znał już miary, tak że Jasko znękanym zabrał się w świat i odtąd nie było o nim wieści.

Tymczasem do chaty naschodziła się cała gromada; najpierw dziewczęta z kądzielami, a potem i parobcy, zaczęła się wieczornica.

Więc jak to zwykle, rozmowy, pieśni, przekomarzanie się dziewczyn z chłopcami, później zagadki, później stara babuła bajkę opowiadała. Rozweselił się młodszy syn gospodarski, Aleksy, umyślił lepszą nad to wszystko sprawić zabawę, a mianowicie baby i dziewczyny nastraszyć. „Wysunął się do sieni, a po dwóch minutach z trzaskiem drzwi otwierając, na całą izbę krzyknął: „Ratujcie, ludzie! kto

www.libtool.com.cn

w Boga wierzy, ratujcie! Bąk idzie! rozbójnik Bąk idzie! Otl ot! już przyszedł! z takim wielkim ostrym nożem przyszedł! Hul hu! hul hu!“ Gwałt się zrobił i rwetes; jednakże paru mężczyzn poznało się wnet na żarcie i ci śmiechem huknęli, co wylęknionych uspokoiło. Niebawem znowu rozmawiać, a nawet śpiewać zaczęli.

Tylko stary Mikula z osłupiałą uporczywością wpatrywał się w przyległy sobie punkt izby. Przed chwilą, gdy Aleksy huknął: „Bąk idzie!“ gość zatrzęsł się całym ciałem i jak miną podrzucony zerwał się z miejsca... Kij, który między kolanami trzymał, w rękę mocno ścisnął i ku drzwiom się rzucił. Ale prawie zaraz wybuchnął śmiech parobków, oznajmujący, że słowa Aleksego obecni za żart poczytali. Przybyły zatrzymał się i do odejścia wciąż się mając, chwilę jeszcze zmaconemi oczami po izbie wodził, aż wzrokiem spotkał u ściany siedzącą nieruchomą postać starca.

Stary rękę do czoła podniósł i gwałtownie zaszeptał: „W imię Ojca i Syna“.

Potem ręka jego powoli w dół osuwać się zaczęła, aż fajka wysunęła się i na ziemię upadła. On tego nie spostrzegł.

„Jezu Chryste“,—zaszeptał znów i cały naprzód pochylony, patrzył na twarz, która z przeciwnej strony izby na niego patrzyła i coraz podobniejszą stawała się do maski tragicznej, chudej, wynędzniałej, żałością niezmierną, niby wewnętrznym łkaniem, wstrząsanej. Wykrzywione jej usta były silnie zawarte, a jednak przemawiała ona, wyraźnie do staroego przemawiała: „Tatulu, czy poznajecie mnie? Oj, tatulu, przypomnijcie sobie, jaki ja kiedyś był i zobaczcie, jaki ja teraz“!...

„Jezu Chryste najmiłosierniejszy, zmiłuj się nad nami!“—szeptał stary.

Głowa nad beczką, w powietrzu jakby zawieszona, powoli trząść się zaczęła, powiekami ku staremu Mikule mrużąc: „Nie żyć mnie z tobą, tatku, nie żyć mi w tej chacie, gdzie chleba nigdy nie brakuje i ludzie w zgodzie żyją... Przypadkiem jam tu przyszedł, i niewytrzymał, taj do chaty

www.libtool.com.cn

zaszedł, ale mnie tu nie żyć!... Zaraz wstanę i pójdę, bo grzechów dużo na świecie popełniłem, i żeby za nie żadnej pokuty nie było, nie można!... Tatku, ty sam powiedziałeś i osądził, że nie można.“

Ku trzęsącej się nad beczką głowie głowa starego także trząść się zaczęła. Zdawało się, że odpowiada, powtarza: Nie można, synku, nijak nie można!...

Synowie gospodarza, jak pamiętamy, już od niejakiej chwili, powzięli co do nieznanego i dziwnego gościa pewne podejrzenie. Podejrzenie to widocznie wzrastało, bo oto zebrawszy gromadkę mężczyzn w jednym rogu izby, poczęli z nimi szeptać i nagle Aleksy zażądał od gościa okazania paszportu. Wszyscy mu przywtórzili.

— „Może ty Bóg wie kto!“ grubo i posępnie krzyknął bednarz. „Może ty ten Bóg, którego za niewinną krew ludzką ścigają!“—zawołał ktoś z gromady.

Z za beczki zerwał się człowiek groźny, z okiem rozbłysłym wściekłością ściganego zwierzęcia. Zerwał się, kij swój żelazem okuty podniósł i szeroko nim zamachnąwszy, ku drzwiom poskoczył. Ale w mgnieniu oka parobcy za ramiona go pochwycili. Rozległy się hałaśliwe krzyki: „Bóg! pewno Bóg! Łapajcie, trzymajcie!“ „Trzymajcie, ludzie, kiedy Boga kochacie, nie puszczajcie!“

Rozpoczęła się walka.

Chwytny zaszamotał się i wychylił nieco z pomiędzy otaczających go postaci i ramion.

„Przypadkiem do was zaszedłem, zdyszany głosem mówił, przypadkiem, na godzinkę. bez żadnej złej myśli... i zaraz pójdę... Nic złego nie zrobię, tylko mię puście.. Na rany Pana Jezusa... Oj, ludzie!“

Stary Mikuła, w którego duszy toczyła się straszna walka, wstał znowu z ławy i już na nią jak wprzód nie opadł. Ku wielkiemu zdumieniu wszystkich obecnych wydał im rozkaz niespodziewany: „Puście go i rozstąpcie się!“ Aleksy chciał się sprzeciwić. Ponuro spojrzał nań stary, a zaś nieszczęśliwemu urwanym słowem kazał iść—i nie grzeszyć więcej.

www.libtool.com.cn

Nieszczęśliwy syn wszelako nie odchodził jeszcze. Na starego patrzył, aż parę szerokich kroków uczynił, na ziemię runął i do wielkiej, bosej, pyłem okrytej stopy Mikulę ustami przylgnął. Łzy jak groch toczyły się po policzkach starego. Prędkim ruchem za koszulę sięgnął, w rękę zaszeleściły mu papierowe pieniądze. Ku leżącemu nachylił się i wyprostował natychmiast. „Nie grzesz więcej“ powtórzył i z naleganiem, ze strachem jakby kilka razy wymówił: „Idźno, idź prędzej.“ Po sekundzie zaś, wielkie ręce splatając, dokończył szeptem: „z Bogiem.“

W opowiadaniu, którego treść podaliśmy tutaj, ogromnie znać tę wielką miłość, którą ma Orzeszkowa dla ludzi. Serce tej pisarki posiadało i posiada zdolność bardzo mocnego i głębokiego kochania. Miłuje ona wielki ogół, t. j. naród w ojczyźnie, miłuje wszystkie tego narodu części składowe, a oprócz tego obchodzi ją zawsze i wszędzie każda napotkana, dostrzeżona dusza człowiecza, boli i porusza każda poszczególna niedola.

Orzeszkowa rozumie i odczuwa cierpienie ludzkie, dlatego też umie je tak doskonale odtworzyć i wyrazić, jak to ma miejsce w przytoczonym powyżej opowiadaniu. Odczuwa także bardzo głęboko tę najgorszą i najstraszniejszą w świecie rzecz—krzywdę. Bolesne zrozumienie krzywdy zniewoliło ją do napisania powieści, o której teraz poniżej mówić będziemy.

Nazwa tej książki: „Sylwek Cmentarnik.“ Są to smutne i przejmujące dzieje opuszczonego dziecka, syna biednej dziewczyny uwiedzionej przez bogatego pana, który ją rychło porzucił, z lekkim sercem zapomniał o niej, a o synu swym nie wiedział nic, aż do chwili, gdy mu go przed oczy postawił zbieg okoliczności, jak zemsta losu. Uwiedziona kobieta, w wyczerpaniu będąca i w nędzy, porzuca dzieciaka u ludzi, którzy chwilowo do siebie ją przyjęli. Nie zgłasza się już potem nigdy.

Sylwka wychowują owi przygodni opiekunowie, a ponieważ są to ludzie bardzo biedni, surowi, zgryźliwi i twar dzi, dola sieroty przedstawia się niewesoło. Zaznał Sylwek

www.libtool.com.cn

głodu, chłodu i szturchanćców a połajaneł co niemiara. Jednego tylko nie mógł sobie nigdy przypomnieć, oto dobrego słowa, albo zaznanej pieśczoty. Opiekun jego, Łukasz, był od lat wielu stróżem przy miejskim cmentarzu; chałupka, w której mieszkał z żoną i podrzutkiem sierotą, znajdowała się tuż przy ogrodzeniu cmentarnym. Małeńki Sylwek chował się z tego powodu rzeczywiście wśród mogił, pomiędzy grobami bawił się i biegał, goniąc motyle; na kamiennej płycie któregoś z pomników niejednokrotnie noc przespał latem, a nawet w jesieni. Nie posiadał nazwiska, nazwano go przeto: „Cmentarnik.”

A tymczasem ojciec tego nędznego dziecięcia, bogaty i wielmożny pan Tytus Tarżyc pędził życie wygodne, piękne, miłe.

Ożenił się z panną wielkiej urody, miał dom mieszkalny, a raczej pałac, pełen ślicznych obrazów i książek i sprzętów ozdobnych, przyjemnych dla oka. Młodemu małżeństwu urodziła się córka, którą pan Tarżyc niezmiernie kochał i otaczał troskliwością największą, pieśszczotami, staraniem i zbytkiem.

I nieświadomym był ten kochający ojciec, że gdzieś niebardzo daleko, w zgola odmiennych warunkach wyrastało pośród nędzarzy jego drugie dziecko, tak samo krew z krwi, kość z kości jego.

Nie pamiętał, nie znał, nie przyszło mu nigdy na myśl. Uwiódł matkę i rzucił; istnieniem dziecka nie zaprzętał się ani przez jedną godzinę.

Krzywdził

Gdy Sylwek miał lat kilka, zdarzył się wypadek, który na umyśle jego dziecięcym pozostawił niezatarte wrażenie.

Pewnego wieczora przywędrował do chaty Łukasza niejaki Szymon Kępa, z zawodu nauczyciel ludowy.

Dziwnym człowiekiem był ten Kępa. Niegdyś jako małe dziecko odznaczał się niezwykłą tkliwością serca. Na widok męczonego dorożkarskiego konia siadał na chodniku ulicy i płakał; starej i okaleczonej żebraczce pod kościołem

www.libtool.com.cn

przynosił od ust własnych odejmowane kawałki chleba i sera.

Rodziców miał ubogich: ojciec jego naprawiał obuwie, matka sprzedawała na rynku pieczywo i owoce. Gdy ojciec umarł, straganiarka wdowa tyle dokazała oszczędnością i pracą, że mogła syna jedynaka oddać do szkoły. Chłopiec począł uczyć się dobrze, jednakże niebawem w tej gorliwości ostygł. Zgoła nie przez lenistwo, ale ponieważ zajmowały go różne myśli, o których nie mówił nikomu. Jednocześnie rozwijała się w nim w skrytości pycha; mniemał o sobie, że jest czemś nieskończenie lepszym od swych kolegów. W wieku lat 17-tu nagle zaprzestał całkowicie nauki. Zniechęcił się do niej. Pytany o przyczynę, mówił: „Na nic się to nie zdało; z nauką, czy bez nauki ludzie zawsze jednako cierpieć będą.”

Z tej odpowiedzi widzimy, iż rzeczą, która tak zajmowała umysł młodego Kępy była sprawa cierpienia ludzkiego. Mozolił się nad tym, a mając w skrytości serca wysokie o sobie mniemanie, rychło przyszedł do sądu, że jest przeznaczony do niezwykłych czynów, do tego mianowicie, aby naprawił, przerobił i wyratował cierpiącą ludzkość.

Jakże się zabrać do tak trudnego zadania? Młody Kępa wierzył, iż można dokonać tego przez miłość. Oto chciał w sercach ludzkich wzniecić tyle miłości, ażeby pod jej wpływem bogaci dobrowolnie podzielili się majątkością swą z ubogimi.

Dusza Kępy była, jak z tego wnosimy, bardzo szlachetną i czystą; szkoda tylko, że nie dorównywał jej zaletom umysł niedosyć wykształcony i zaćmiony zbyt niemiłym rozumieniem o sobie.

Upłynęło lat kilka. Kępa już był doskonale ułożony, w jaki sposób świat naprawi, odmieni, ale nie miał od kogo i od czego zacząć; nie spotykał ludzi odpowiednich i nikt go jeszcze nie słuchał.

W tym czasie trafiła mu się posada nauczyciela w dobrach bogatego Tytusa Tarzyca, który właśnie ufundował swym kosztem kilka szkół początkowych wiejskich.

www.libtool.com.cn

Kępa na tę posadę jechał z najżywszą radością w sercu. O panu Tarzycu dużo słyszał korzystnych rzeczy i miał nadzieję, że w nim sobie pozyska współnika przekonań, bardzo cennego, bo zasobnego w znajomości i znaczenie u ludzi. Marzył, że oto we dwu rozpoczną jakieś owocne działanie.

Przy szkole w majątności Tarzycy spędził lat parę. Nadzieje jego zostały zawiedzione. Co więcej, ten człowiek, który dotychczas pragnął jedynie zaszczepienia wzajemnej miłości w sercach ludzkich, teraz sam począł odczuwać bardzo gwałtowną nienawiść.

Powodu do tego nastroczyło następujące zdarzenie. Kępa serdecznie pokochał młodą, piękną włościankę Rozalję Klinównę, która się wychowała we dworze Tarzycy i pozostawała na usługach jego matki.

Na nieszczęście i dziedzicowi wpadła w oko piękna dziewczyna. Po śmierci starej pani zbałamucił ją, uwiódł i następnie dłużej o niej nie myśląc, pozostawił losowi.

Kępa niezmiernie nad tym cierpiał; jednak, jak to sam mówił, narazie współzawodnikowi przebaczył.

Opowiadał o tym później w ten sposób: „Przebaczyłem. Stałem przed nim i powiedziałem mu: pójnij ją za żonę i uczyni ją szczęśliwą. Ja się oddałem. Niema na świecie nic, czegobym się nie wyrzekł i nie dokonał dla szczęścia jej i twego. Wtedy wiecie, jak on mi odpowiedział? Oto wybuchnął śmiechem i kazał mi wyjść za drzwi“.

Zabawną wydała się temu panu sama myśl naprawienia w ten sposób krzywdy biednej dziewczynie. Tymbarbardziej zapewne, że właśnie w tym czasie ubiegał się o rękę zamożnej i starannie wychowanej panny z sąsiedztwa.

Gdy się to działo, opuszczona Rozalja Klinówna powiła syna, któremu dano na chrzcie imię Sylwestra.

Kępa z sercem zgorzkniałym, z poczuciem nienawiści, którego, pomimo walki, przytłumić w sobie nie mógł, przez kilka lat z rzędu pędził żywot ubogi, tułaczy. W wędrówkach swoich po okolicy natrafił kiedyś na chatę cmentarnego stróża Łukasza. Tam, widok sieroty Sylwka zaniepokoił go i zadziwił. To dziecko tak mu kogoś przypominało wszyst-

www.libtool.com.cn

kiemi rysami twarzy. Czyżby to syn był nieszczęśliwej Rozalji? Domysły Kępy sprawdziły się najzupełniej, gdy obaczył metrykę dziecka. Zalał się rzęsimi łzami. Rozpytywał o nieznaną Łukaszom kobietę, kiedy była i dziecię przyniosła, co mówiła, jak wyglądała i dokąd ztąd odeszła? Nie wiele objaśnień mogli dostarczyć Łukasz i Anastazja, jego żona. Kobieta poszła do miasta, nie wróciła nigdy, przepadła.

Kępa wziął chłopca na kolana i pieścił go czule, a potem nagłym ruchem usunął i obu dłońmi pochwycił się za głowę: „O, Boże! zawołał, wyrzuć Ty mi z serca gniew ten i tę nienawiść! O, Boże! daj mi siłę do walki z tym jadem!”

Walka istotnie, walka namiętna malowała się na twarzy człowieka tego, którego zwykłym wyrazem była miękkość niewieścia prawie i dziecięca słodycz. Teraz ze wzrokiem ponurym, a rozognionym, trzęsącemi się usty szeptać zaczął:

„I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom... O! wzniosła modlitwo, wryj się ty aż do dna istoty mojej. O, przebaczenie, tyś nierozłączne jest z miłością; ja sługa i apostoł miłości przebaczyć powinienem, przebaczyć, przebaczyć!”

Nagle opadł na ławę, zmęczony, zdyszany. Otarł dłońią pot, który mu wystąpił na czoło i stłumionym głosem wymówił:

— „Nie mogę! nie mogę! nie mogę zapomnieć, nie mogę przebaczyć! Nienawidzę go za nią, za siebie, za tę niewinną istotę... Nienawidzę go za to, że on pierwszy wlał we mnie ten jad występny, pokalał mego ducha, sprawił to, że nie mogę już powiedzieć o sobie: jestem doskonały!”

Z ciemnym ogniem w turkusowych źrenicach i jadowitym uśmiechem, wijącym się po zwiędłych wargach, pociągnął znowu ku sobie Sylwka i obejmując go ramieniem, nad samą twarzą jego szeptać zaczął:

— „Słuchaj mię, moje dziecko, i zapamiętaj to, co ci powiem. Jesteś skrzywdzony srogo, strasznie skrzywdzony... To ubogie, zimne domostwo, w którym się wychodowałeś, te

www.libtool.com.cn

łachmany, które cię okrywają, to grube i niedostateczne ja-
dło, które spożywasz—nie są tym, co ci się od świata i ludzi
należy. To wszystko przedstawia tylko krzywdę twoją!...
Miejsce zaś przynależne ci na świecie—to śliczny pałac, cie-
pły, jasny, pełen rzeczy cudownej piękności, pełen pieśczęt,
pocałunków, szczęścia! Oto co ci się na tym świecie należy
i z czego cię odarł!... Pamiętaj, że to winą jednego z tych,
którzy mieszkają tam... wysoko! Nie mówię ci: przebacź! bo
sam przebaczyć nie mogę. Ale nie mogę też zemścić się,
włęc mówię ci: mścij się! mścicielem bądź krzywd swoich i to-
bie podobnych. Ty i ja, różnymi drogami prowadzić będzie-
my ludzkość do doskonałości i szczęścia; ja, opowiadając mi-
łość, ty dokonywując pomsty... Rośnij na to, abys się po-
mścił!"

Przenocowawszy w chałupie Łukasza, Kępa dalej w świat
powędrował, ale słowa jego, wyrzeczone tego wieczora, po-
zostały Sylwkowi w duszy. Wgryzły się w pamięć dziecka
i nic ich ztamtąd wyrugować nie mogło.

Jakież były dalsze losy chłopaka?

Po kilku latach Łukasz utracił nędzną posadę cmentar-
nego dozorca; żona jego ze zmartwienia umarła. Wdowiec
z chłopcem wyprowadzili się do miasta. Za ostatnie posia-
dane pieniądze nabył Łukasz katarynkę, na której odtąd po
podwórzach domów wygrywał, a zaś Sylwek jaskrawo wy-
strojony musiał pod takt muzyki tańczyć i śpiewać. W ten
sposób zarabiali na życie.

Później, gdy stary opiekun całkiem podupadł na siłach,
Sylwek odziedziczył katarynkę i rzemiosło grajka; żywił sta-
rego i siebie.

Był to już wtedy chłopak lat 18-tu czy 19-tu, smukły
i przedziwnej urody.

Osobliwie oczy miał bardzo piękne.

Los zdarzył, że parokrotnie spotkali się na podwórzu
i na ulicy, młody grajek i często przyjeżdżający do miasta pan
Tytus Tarzyc. Piękność chłopca zwróciła na siebie uwagę
pana, ale Sylwek do tego nieznajomego odczuwał zawsze
jakąś głuchą, a gorzką niechęć, której sam nie rozumiał.

www.libtool.com.cn

Pewnego roku pan Tarzyc zjechał do miasta na mieszkanie na całą zimę.

Tegoż roku Sylwek zetknął się po raz drugi w życiu z Szymonem Kępą.

Przez czas ubiegły Kępa przechodził różne koleje. Przemieszczał po rozmaitych zakątkach, najczęściej w niedostatku będąc, a nawet w biedzie, ale zawsze pochłonięty jedyną myślą i jednym planem. Zamierzał napisać olbrzymie dzieło, księgę, w którejby się zawarły wszystkie jego projekty i marzenia o przyszłym uszczęśliwieniu ludzkości. Zanim to nastąpi, pouczał żywym słowem kogo się dało i gdzie się dało. Skutek owego nauczania bywał rozmaity; aliści raz spotkała Kępę niespodziewana, a ciężka przygoda. W pewien zimowy wieczór, znajdując się w karczmie pośród tam zgromadzonej ludności wiejskiej, zawiązał jak zwykle długą rozmowę. Niebawem zapał ogarnął go taki, że wskoczył na ławę i z wysokości tej przemawiać zaczął. Dopóki mówił o cudownych maszynach, o przyszłym raju ziemskim, o równości wszystkich ludzi pomiędzy sobą, o potrzebie wzajemnego kochania się i t. d., dopóty ludzie słuchali go z różnemi nastrojami ducha, lecz cierpliwie i nawet ciekawie. Lecz gdy przechodząc do drugiej części swoich dowodzeń, wołać począł o równy pomiędzy ludźmi wszystkim podział dóbr ziemskich, usposobienie słuchaczy ulegać począło znacznej zmianie. Dostatni gospodarze, którzy posiadali spore kawały gruntu, a w spichrzach znaczną ilość zbożowych zapasów, z niepokojem oglądać się poczęli na parobków swych i najmitów, którzy ani na grunta, ani na zapasy i inwentarze jeszcze się nie zdobyli. Parobcy zaś i najmici, odziani w dostatnie kożuchy, podejrzliwie spoglądali na samego mówcę, którego wytarta i podarta odzież, wcale do pory roku zastosowaną nie była.

Gospodarze myśleli, że wcale niedogodną byłoby rzeczą, jeżeliby parobkom i najmitom przyszło do głowy przystąpić do równego z niemi podziału gruntów i zapasów; ci ostatni zaś, szyderczo ku mówcy wykrzykiwali: mądryś!

www.libtool.com.cn

chciałbyś pewnie, abyśmy ci połowę kozuchów naszych oddali!

Gdy Kępa zaczął proponować środki, za pomocą których plan równego podziału dóbr urzeczywistnionym być może i z twarzą w ogień zawołał, że niechętni, samolubni i opierający się dziełu zbawienia ludzkości, przeznaczonemi zostaną jak suche drzewa na spalenie i zagładę, w karczemnej izbie powstał krzyk i tumult wielki, gniew i śmiech, wydrwiwanie i pogrozki.

Koniec końców ściągnięto mówcę z ławy, związano mu ręce postronkami i oddano go władzom miejscowym, które, po wytoczeniu sprawy, skazały Kępę za usiłowanie burzenia porządku publicznego na trzy lata zamknięcia w więzieniu.

Postępek, którego się przeciw niemu dopuścili „maluczy i cierpiący” jak ich nazywał, uderzył w Kępę jak grom i na czas pewien przytępił i tak nieporządne zazwyczaj władze jego umysłu. Wpadł w rodzaj ponurego osłupienia, a znieruchomiałe, głęboko zdumione jego, oczy i gorzki uśmiech nadawały mu pozór warjata.

Młody Sylwek zetknął się z Kępą powtórnie w pół roku po wyjściu tego ostatniego z więzienia. Odtąd stosunki ich były ciągle i ściśle.

Kępa w owym czasie już był bardzo dalekim od łagodnych, miękkich uczuć młodości swojej. W duszy jego nie tylko mieściła się, ale coraz wzrastała gryząca nienawiść do „wielkich tego świata”.

Taką nienawiścią nasiąkał szybko podatny ku temu, a obcujący z Kępą Sylwek.

Do izdebki w suterrenach poczęli stopniowo zaglądać i inni słuchacze; najczęściej jednakże przebywała tu gromadka opuszczonych i zaniedbanych dzieci.

Orzeszkowa, opisując smutne losy Sylwka, przy tej sposobności pokazuje nam różnych nieszczęśliwych, upośledzonych, skrzywdzonych, z którymi chłopak spotykał się nieustannie, o których się ocierał w zaułkach, po szynkach i norach wszelkiego rodzaju.

www.libtool.com.cn

Duże miasta mają zawsze dwojaki wygląd: na pierwszy rzut oka i jakby na powierzchni, zamożność, ruch ożywiony, szerokie ulice, piękne sklepy i domy; dalej i głębiej, jak gdyby na dnie, ciemne zaułki, zatęchłe i wilgotne mieszkania, ubodzy ludzie nieoświeceni, szynki pijanych pełne, słowem—nędza.

Orzeszkowa umiała wypatrzyć ją, wyrozumieć i wy-czuć. I wystawiła z serdecznym żalem i bólem.

A najbiedniejszymi wśród biednych są dzieci, istoty, którym się święcie należy opieka, troskliwość i nauka, a które, zamiast tego, doznają poniewierki i głodu, oraz najgorsze przykłady miewają przed oczyma. Więc gromadkę takich nieszczęśnych opisuje autorka w powieści o Sylwku Cmentarniku.

Któż te opuszczone niekiedy przygarniał do siebie? Kępa. Ale taki opiekun nie mógł ich naprawdę poratować, przytulić, oświecić. W jego własnym umyśle panowała ciemność i pomieszanie pojęć. Dzieci, które przychodziły do Kępy, kradły. Widział to i w głębi serca niepokoił się tym i zasmucał. Wszelako nie nie mówił. Ani chciał, ani by umiał przeszkodzić. Zresztą przecież sam otoczenie swoje pouczał, że człowiek ma prawo sięgać po rzeczy potrzebne sobie—każdym sposobem.

Książka o uszczęśliwieniu przyszłym ludzkości w tym czasie ukończoną została i należało ją wydrukować. Nie było za co. Kępa postanowił uczynić rzecz dla siebie najprzykrzejszą, a mianowicie udać się z prośbą o potrzebne pieniądze do ludzi majątnych, czyli do „wielkich tego świata”. Zamiar wykonał, ale bez powodzenia. Osoby, do których przychodził, by zamiar swój wytłomaczyć, żądając pomocy, przeważnie brały go za warjata. Okazywano mu czasem litość, czasem śmiech i szyderstwo.

Niepowodzenie to wzmogło żal, gorycz i nienawiść biednego Kępy. Odzywał się teraz, że nie wystarcza działać na ludzi miłością, miłości ich nauczać, że trzeba do tych bogatych a głuchych i pysznych przemówić jakimś strasz-nymi rzeczami, nieszczęściem, któreby dotknęło i przeraziło.

www.libtool.com.cn

W izdebce swojej po nocach prowadził o tym z Sylwkiem i paru innemi długie a gorzkie rozmowy.

I dojrzewało nasienie nienawiści.

Wreszcie pewnego dnia, a raczej znów pewnej nocy przysunął Sylwek do Kępy twarz, od której buchało gorąco i ciężkim szeptem zapytał: „A czy, jeżeli nie oddają, nie można wziąć?”

Kępa drgnął i poblądł.

Chłopak coś mu dalej szeptał do ucha.

Kępa nagle zdmuchnął świecę, w ciemnościach zasze-mrał naprzód pełen zgrozy wykrzyk: „Wielki Boże!” a po-tym słyhać było długie, długie szeptanie, pełne rozmyślań z jednej strony, a uniesień z drugiej, rozmowę dwu tych chorych, rozjątrzonych, zbuntowanych duchów.

Zamiarem Sylwka było ograbić dom Tarżycy, do któ-rego uczuwał zawsze szczególny, niezrozumiały dla siebie samego żal i głuchą, zapiekłą w sercu wściekłość.

Gdyby Tarżyc własności swojej bronił, ano—to zabić.

Chłopiec nie wiedział, że się na własnego ojca zamie-rza, ale Kępa oczywiście pamiętał o tym żywo. Dlatego też w dniu stanowczym przez chwilę zapragnął wychowania swego powstrzymać. Zamysłony smutnie tak mówił: „Nie tego pragnąłem, nie o tym marzyłem, nie takimi sposobami zamierzałem pierwotnie odrodzić ludzkość. U punktu wyj-scia mego była miłość, sama tylko przeczysta i przegorąca miłość, lecz wielki Boże! ileż żywiołów innych przybrała w siebie, tocząc się drogą pełną przeróżnych nadziei, zawo-dów i nędz...”

Długo, może godzinę całą, milczeli obaj. Potem szept Kępy głośny, wyraźny, rzucił w mrok jeden tylko wyraz: „Idź!”

Sylwek wstał i wyszedł z izdebki.

Koniec powieści taki, że istotnie w noc ciemną dostaje się Sylwek przez wyważone okno do mieszkania Tarżycy.

W pierwszym zaraz pokoju nie było światła, ale nagle błysnęła zapałka i zapalono świecę. Z poza stołu podniósł

www.libtool.com.cn

się Tarżyc, który nie spał pomimo późnej pory, jeno tu siedział pogrążony w zadumie.

Dostrzegłszy, co się dzieje, skierował się do dzwonka, aby wezwać pomocy. Lecz Sylwek jednym sprężystym krokiem drogę zagroził. Jednocześnie błysnął nóż w jego rękę. Syn i ojciec tak stali przez chwilę naprzeciw siebie.

„Wtym w przyległej sali dały się słyszeć pośpieszne i tłumne kroki. Była to policja sprowadzona przez jednego z krewnych Tarżyc; krewny ten przewiedział się o napadzie. Na zapytanie policjantów, czy w zamiarze kradzieży tu przyszedł, Sylwek odpowiedział spokojnie: „Nie; kraść nie chciałem, ale zrabować dom ten—do szczętu.“

— A tenże nóż? Czy kogo zabijać nim myślałeś?

— Nie, bo mam dwie silne ręce, któremi zadusić go mogłem!

— A taki młody jesteś! — wykrzyknął urzędnik.

Spuszczając powieki, ciszej niż wprzód, Sylwek odpowiedział: „Chciałbym wcale nie być.“

Teraz Tarżyc zadrżał. Taka nienawiść i taka rozpacz przeraziła go do głębi. Więc mówić zaczął: „Widziałem cię już kilka razy: kto jesteś?“

Z za zaciśniętych zębów chłopaka wyszła odpowiedź: „Nie wiem.“

— „Nie miałeś chyba nigdy na świecie nikogo. Któż jest twój ojciec?“

Tak samo jak wprzód odrzekł: „Nie wiem!“

— „Ale ja wiem“, zaszeptał nad samym prawie uchem Tarżyc Kępa, który tu wszedł za innemi niepostrzeżenie, aby swej zemsty dokonać. Wymówił parę słów cichych, a gdy mu Tarżyc nie wierzył: wołając „Zkąd wiesz? dowody! Kępa wydobył przyniesioną przez siebie metrykę Sylwka. Półgłosem, uroczyście odczytał: że „takiego to a takiego roku i dnia w parafialnym kościele Targowskim ochrzczonym zostało dziecko płci męskiej, urodzone z Rozalji Klinównej i niewiadomego ojca. Na imię mu dań Sylwester.“

Tarżyc obie dłonie podniósł do czoła i krzyknął:

www.libtool.com.cn

„Tak! tak, tak! na koniec przypomniałem! pamiętam! wiem!“
Zachwiał się i bezprzytomnie runął na sprzęt najbliższy.“

Gdy się go dotrzezwiono, zerwał się, w głąb mieszkania biegnąc, zawołał: „Wróćcie! wróćcie! Przyprowadźcie mi tego... tego... to dziecko!“ Ale już próżnym było wszelkie wołanie. W ciemną noc, wpośród mroźnego wiatru i śnieżnej zamieci policja uprowadziła na długą, niezgłębioną nie-
dolę i na zatracenie jego własnego syna, rodzone jego, a skrzywdzone dziecko.

Smutna opowieść. Stary jest świat nasz i pełen bólu, a co jeszcze dotkliwsze, krzywdy.

Ludzie, obdarzeni wyższymi zdolnościami i mocą głębszego na rzeczy wejrzenia, słusznie czynią, dobywając na jaw te krzywdy przez wielu niezrozumiane. Spełniają w taki sposób swój obowiązek.

Orzeszkowa nigdy obowiązkowi temu nie uchybiła w najmniejszej mierze. Nigdy nie przemilczała o dostrzeżonej niesprawiedliwości i błędzie, czy winie.

Stary jest świat nasz, a obok wiekowych krzywd i uci-sków, pełen także wiekowej tęsknoty, aby się od tych brze-mion wyzwolić. Z dawien dawna pojawiali się ludzie, któ-rych nierówność i niesprawiedliwość społeczna przejmowała głębokim bólem i którzy przeróżne środki obmyślali jako le-karstwo, na zaradzenie złemu. Ludzi takich powinno być i będzie coraz więcej. Coraz gorętsze powstaną wysiłki, by przecież na świecie wzeszło dobro. Jednakże nie wystarczy chcieć tego dobra, tej sprawiedliwości i przyszłego szczęścia dla wszystkich. Stanowczo nie wystarczy, bowiem potrzeba umieć ku temu dążyć i na te cenne rzeczy pracować.

Dlatego też obok serdecznych pragnień niezbędnym jest kierownictwo rozumu i spokój postępowania. Dlatego to osobniki podobne do Kępy, ludzie niedouczeni, a jednocze-śnie zarozumiali, zgorzkniali i chorzy na duszy, przynoszą tym pokrzywdzonym, za których walczą, nie korzyść i pomoc, ale jedynie szkodę.

Kępa nie podniósł, nie oświecił, nie wyratował Sylwka, ale go ostatecznie zgubił.

www.libtool.com.cn

Czytając tę smutną powieść, rozumiemy myśl Orzeszkowej. Oto źle jest, że dzieje się krzywda na świecie, a równocześnie niedobrze i ciężko, że pojawiają się tacy niewłaściwi, nierozumni lekarze, co to nie pomagają, a tylko niszczą i szkodzą.

Wymieniliśmy tutaj cały szereg książek napisanych przez Orzeszkową. Są to obszernie powieści, z których każda w sobie dużo myśli mądrych zawiera; są to jakby mocne kamienie w budowie jej niezapomnianej zasługi.

Pomiędzy temi większemi dziełami rozsypane jest niejako całe mnóstwo krótkich powiastek czyli nowel. Trudno by o wszystkich tu mówić, bowiem Orzeszkowa różnemi czasami napisała ich bardzo wiele.

Żadna z tych powiastek nie jest pozbawiona głębszego znaczenia. Żadna nie powstała jako fraszka. W każdej wyrażona jakaś myśl troskliwa i zacna, w każdej wyczuwa się uderzenie miłującego serca.

Są zbiory tych opowiadań objęte ogólną nazwą „Z różnych sfer“. Tytuł rzecz dobrze wyraża, bowiem istotnie opisywane tu postacie z rozmaitych warstw społeczeństwa; niedole i smutki i trudności wszelkich rodzajów, zawsze z jednaką serdecznością przez autorkę odczuwane i czytelnikowi postawione przed oczy.

Po „różnych sferach“ chadzała baczna myśl Orzeszkowej i słusznie, bo żadna sfera, żadna część rodzinnego społeczeństwa nie była jej nigdy obojętną przez jedną bodaj chwilę.

Są jeszcze inne, bardzo liczne powiastki, poszczególne, albo też powiązane jakimś wspólnym odpowiednim tytułem np. „Iskry“.

Niektóre z tych opowiadań poświęcone są niedoli dziecięcej, której głębokie odczuwanie widzieliśmy już w dłuższej powieści o Sylwku Cmentarniku.

Jest np. niedługa powiastka: „Dobra pani“. Opisywana rzecz dzieje się w mieście Grodnie. Dobra pani to zamożna,

www.libtool.com.cn

bezdzienna wdowa. Przekonana jest o sobie, że posiada niezmiernie tkliwe i kochające serce, w istocie zaś jest kapryśną znudzoną kobietą bez zastanowienia, powiedzieć można, bez sumienia.

Bawi się, przybierając do łaski coraz to inną, chwilowo ulubioną istotę. Zachwyciła się kiedyś urodą młodej dziewczyny w zaścianku szlacheckim. Obietnicami ją obsypała, narażenie uczyniła z niej przyjaciółkę, mówiąc, że los jej zapewni. Później stopniowo znudziła się chwilową przyjaźnią, dziewczynę obróciła do swoich posług, tak nagłą zmianą zatruli jej serce gorczyzą.

Z kolei upodobała sobie papugę, dalej pieska pokojowego, nareszcie rozkochała się w ślicznym dziecku, małej sierotce Helce, która się chowała gdzieś na przedmieściu u wuja swego mularza.

„Dobra pani“ dziewczynkę bierze za swoją, jak z rodzoną córką z nią postępuje; niepomierne stroi, pieści, jakby nad skarbem nad nią czuwa.

Dziecka serduszek wdzięczne przywiązało się do tej opiekunki.

Dziecka młode usposobienie przywykło do nowych, a tak wygodnych warunków życia. Ale właśnie natenczas „dobra pani“ już sobie upatrzyła gdzieś nową namiętność i zabawkę. Bez najmniejszego względu odsuwa od siebie dziewczynkę, obojętnie dla niej, mrozi i łamie tę dziecięcą, wiosenną duszę.

Helenka odesłana została do garderoby, a niebawem, gdy pani wyjechała gdzieś zagranicę, oddano ją z powrotem do ubogich wujostwa, od których przed kilku laty przyszła. Gdyby jej „dobra pani“ nie była stamtąd brała, dziecko mogłoby sobie wyrastać i zdrowo i dość szczęśliwie. Ale teraz rozpieszczona i nawykła do zbytku okropną wydała się biedna chata i twarde w onej życie. Oburzająca lekkomyślność i kaprys „dobrej pani“ przyprawiły to młode stworzenie o głęboką niedolę.

W paru powiastkach Orzeszkowa pisze o nędzy i bólu żydowskiego ludu. Współczucie dla żydów, jako nieraz bar-

www.libtool.com.cn

dzo upośledzonych i biednych, przebijało już w znakomitej powieści o Meirze Ezełowiczu. Z takim samym, szczerze ludzkim zrozumieniem i odczuciem niedoli napisane są krótkie opowiadania. Tytuły ich: „Gedali“ i „Silny Samson“.

W powiastce p. n. „Romanowa“ opowiedzianą jest dola biednej matki wdowy, która głęboko chowa wspomnienie zaznanego w młodości małżeńskiego szczęścia, a jednocześnie z ciężkiej swej pracy wychowuje jedynaka syna. O synu tym marzy, iż będzie człowiekiem, co się nazywa, że się dorobi dobrego losu i szacunku na świecie.

Chłopak jest rzeczywiście bardzo zdolny, obiecujący, naogół lubiany. Na nieszczęście obudził się w nim pociąg do trunku.

Żli towarzysze tę skłonność w nim podtrzymują, zachęcają, tak że wkrótce staje się to nałogiem.

Biedna matka rozpaczliwie z nałogiem owym walczy. Wielką dobrocią stara się działać na syna, zatrzymuje go przy sobie wszelkimi środkami, tłumaczy, błaga. Nie robi mu nigdy gorzkich wymówek; jeno gdy przychodzi pijany, usiłuje skryć to przed oczyma ludzkimi: chłopca jak małe dziecko utula, karmi, poi; potem wytrzeźwionego prowadzi ze sobą do kościoła. Modlą się razem gorąco i chłopak jest skruszony, ocenia miłość matki, obiecuje poprawę. Serce Romanowej przez kilka dni lub tygodni wzbiera nadzieją.

Nietylko ciężką ale daremną okazuje się jednak ta walka ze wzrastającym nałogiem.

Chłopak jest z zawodu mularzem; w lecie, jesieni, dopóki wre robota, wszystko wybornie idzie. Syn Romanowej za dwóch, za trzech, pracować umie i lubi; przepadają za nim majstrowie. On sam na żadne zbytki i nudę czasu nie ma. Gdy wszakże nastaje pora zimowa, z nią brak zajęcia, nadchodzą dni pokusy i nudy. Przez tydzień jeden, drugi, opiera się im chłopak, a w końcu—ulega znowu.

Matka niejednokrotnie z żalością spogląda wgląd ciemnego zaułka, gdzie nisko ponad ziemią połyskują oświetlone, choć brudne okienka szynku. Przypominają się jej widziane kiedyś w młodości wśród śnieżnego boru złowro-

www.libtool.com.cn

gie oczy wilka. Bo też ów szynk przyczajony w głębi zaułka wydaje się także wilkiem okrutnym, a głodnym, czekającym na zgubę człowieczą.

I myśli sobie: „Dlaczego to ludzie bogaci i oświeceni nie urządzają dla biedniejszych i ciemnych jakiego miejsca rozrywki dostępnej, godziwej, nie pociągającej do złego“.

Nieszczęsna kobieta nie ocaliła syna; musiała patrzeć na jego stopniowy upadek, a sama na schyłku życia jako żebraczka wyciągnęła rękę do litościwych w kościelnej kruchcie.

W powiatce: „A. b. c.“ rzecz dzieje się w księstwie Poznańskim, czyli w tej części kraju, która się dostała pod panowanie pruskie.

Młoda dziewczyna, Joanna Lipska, mieszka przy bracie, ubogim urzędniku. Widzi, że brat ten z trudnością ich dwoje wyżywić może; chciałaby mu serdecznie ulżyć, pomóc. Ale prócz tego chciałaby jeszcze czegoś więcej. Oto jest młoda i zdrowa, a czuje, że jej życie jakoś jałowato schodzi. Tedy wszystkimi siłami swej młodości pragnęłaby uczynić coś dobrego, pożytecznego dla społeczeństwa, dla ludzi.

Wreszcie wpada na pomysł, który nietylko przyniesie jej pewien zarobek, ale co ważniejsze, zaspokoi te tęskne, a szlachetne pragnienia. Będzie uczyła dzieci rzemieślników z sąsiedztwa; praczki, krawca, stolarza. Dzieci te przeważnie są zaniedbane; rodzice nie mogą im dostarczyć odpowiedniej opieki i nauki.

Rozpoczyna się dla Joanny Lipskiej jakoby nowe, a pełniejsze życie. Dzieci przychodzą ochoczo, rodzice uradowani składają drobną zapłatę, a ona sama jest poprostu szczęśliwa.

Stopniowo wzrasta ucząca się gromadka.

Joanna przygarnia i takie dzieciaki, których ojcowie i matki wcale płacić nie mogą. Otacza ją wzamian miłość i wdzięczność. W jej ubogim mieszkaniu rozlegają się głosy dziecięce: a. b. c. Żwawo idzie nauka.

Wszystko jak najlepiej się składa, jednak tylko do czasu. Rząd pruski, starannie nad tym czuwa, aby oświata

www.libtool.com.cn

nie przenikała do dzieci polskich. Rychło wyszpiewowano szkółkę Joanny. Dostała wezwanie do sądu. Skazano ją na trzymiesięczne więzienie lub zapłacenie dość znacznej kwoty. O tym ostatnim nie pomyślała nawet; skądby uboga wzięła tyle pieniędzy? Gotowała się przeto iść do aresztu. Brat jednakże nie chciał na to pozwolić; dostał pożyczkę od lichwiarza, obarczył się nowym, wielkim ciężarem, a uratował siostrę. Joanna uczuła ogromną dla niego wdzięczność, a wszakże po chwili opłynął jej serce smutek. I cóż stąd, że do więzienia nie pójdzie, że od tej biedy uchronioną została? Żli i okrutni ludzie zgasili w jej duszy promień; oto życie znowu przed nią jałowe i puste.

Okrutny zakaz pruskiego rządu wyrządził tej dziewczynie najcięższą krzywdę moralną, pozbawił ją możności pracowania dla tego, co ukochała, czyli dla ideału.

Powiatka powyższa odnosi się do stosunków w Wielkopolsce (księstwie poznańskim), ale przecież to samo istniało i u nas. Dopiero ostatnie czasy zapowiedziały niejaki w tym względzie ulgi.

A jeśli gdziekolwiek, to na Litwie przestrzegano tego z surowością największą.

Orzeszkowa nie mogła o tym otwarcie pisać, przedstawiła więc takie same stosunki, ale gdzieindziej, w Poznańskim.

Że myślała o Litwie, widać to z różnych szczegółów w toku opowiadania.

Nie możemy tutaj wymieniać treści, a bodaj i tytułów wszystkich prac Orzeszkowej. Jest tego mnóstwo. Wszakże złożyło się na to czterdzieści lat niestrudzonego, wytężonego działania.

Ale najważniejsze utwory przebiegliśmy pilną myślą i oto mamy przed sobą obraz wielkiego, pracowitego żywota. Czy dziwnym się to wyda, iż można w szeregu książek wyrazić swoją obywatelską działalność, swoje w społeczeństwie i dla społeczeństwa—życie?

Wiemy już, że to w kraju naszym, najzupełniej możliwe i prawdziwe.

www.libtool.com.cn

I jakąż ocenę dziś nadamy ujrzanemu w ten sposób wizerunkowi żywota?

Wśród mnogości dzieł Orzeszkowej znachodzą się oczywiście wykonane lepiej i gorzej. Są utwory, które pokolenia po naszym następujące jeszcze odczytywać będą z pożytkiem i zamyśleniem; są inne mniej udatne, o których się z czasem zapomni. Ale jednego nie masz, mianowicie książki, któraby do nas nie przemawiała gorącym ukochaniem narodu, ziemi rodzinnej i wszystkiego, co dobrym, podniosłym, szlachetnym jest na świecie.

Wspominaliśmy u początku, że Orzeszkowej całe życie upłynęło na Litwie i że działalność jej pisarska zespolona jest ściśle z losem popowstaniowym tamtejszego społeczeństwa polskiego.

Przyjrzelśmy się w jej książkach tym czterdziestoletnim dziejom.

Nie masz tam, zda się, wydarzeń wielkich, tego, co nazywamy wypadkiem historycznym. Ale to tylko pozór.

Długiego onych niedoli szeregu możemy się właśnie doskonale nauczyć, wędrując poprzez dzieła Elizy Orzeszkowej.

Wszystkie tam znalazły odzwierciedlenie. Każdaznaczona z głębokim bólem zranionego serca, obrażonej sprawiedliwości, wstrząśniętej duszy.

Równolegle idą dzieje potrzeb powstających w narodzie. Każda z nich natychmiast zauważoną była rozmiłowanym sercem i myślą. Troskliwością objęta, każda swój wyraz znalazła w odpowiednim utworze.

Niedole, potrzeby i grzechy społeczeństwa. Te ostatnie wykazywane sprawiedliwie, bez oszczędzania, bez omówień. Jednakże i w tym wypadku zawsze czuć było, że rękę powodowało serce. A ono poprawy pragnie i nikogo wśród społeczeństwa nienawidzić nie umie.

Krok za krokiem postępowała tak obok narodu swego Orzeszkowa, nie odrywając się nigdy, bodaj na chwilę, od wspólnej twardej, doli.

A postępując, nieciła ustawicznie w sercach miłość Oj-

www.libtool.com.cn

— 100 —

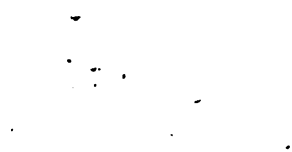
czyzny. Nie upadała w cierpieniu. Wbrew niszczącej sile ciemnoty, ucisku, krzywdy, nieciła jasną miłość sprawiedliwości, dobra i prawdy.

Wspaniałym czynem jest takie oto życie! I jakże je nazwać mamy, by uszanować w godnej, dostatecznej mierze?

Powiedzmy, że było ono całe. właśnie miłością i dobrem.

Niech mu to będzie za sprawiedliwe miano.

K O N I E C.





STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
CECIL H. GREEN LIBRARY
STANFORD, CALIFORNIA 94305-6004
(415) 723-1493

All books may be recalled after 7 days

DATE DUE

--	--

www.libtool.com.cn